Kamena

Wychodzi od 1933 r.

LUBLIN 20.VI.1971 Nr 13 (472) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

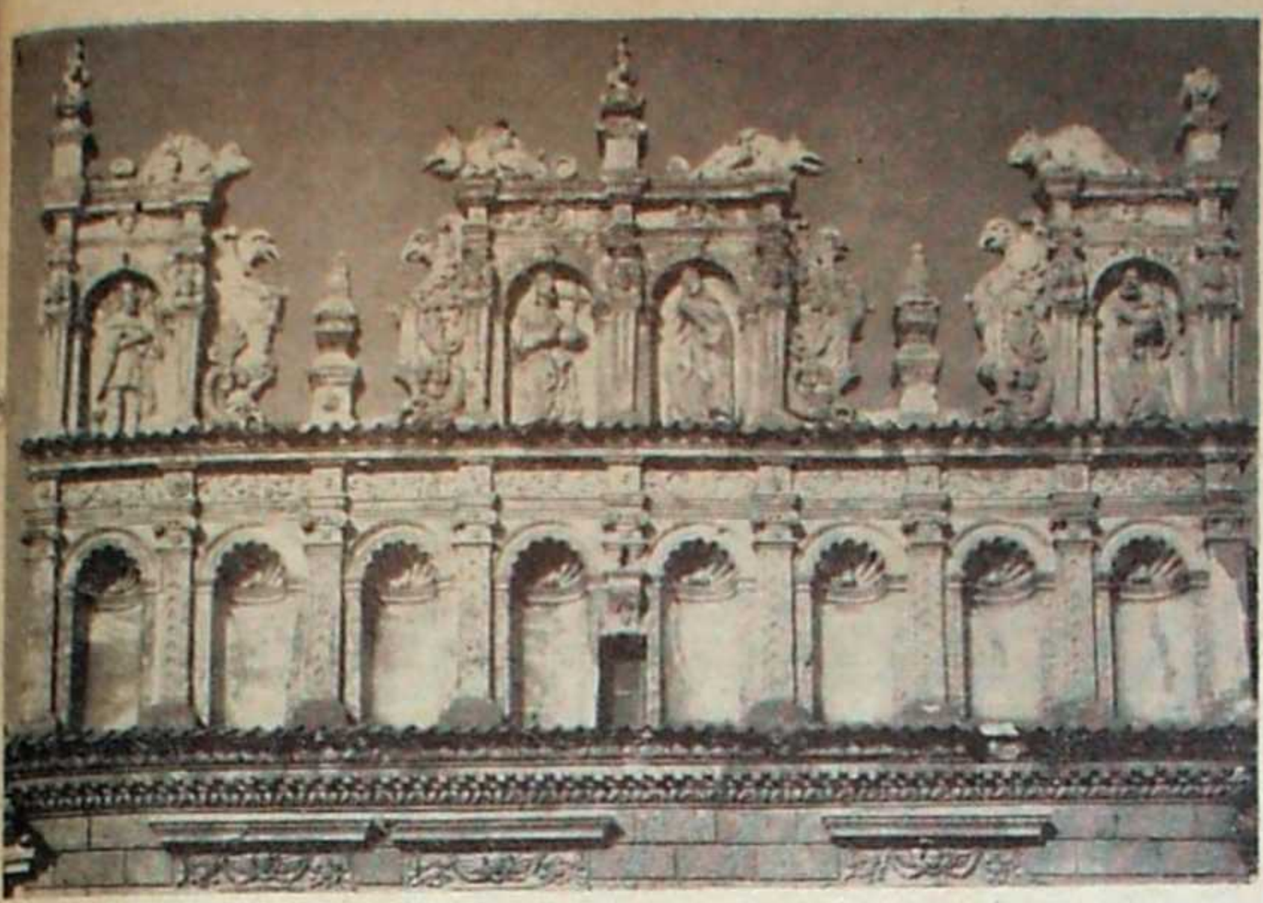

Attyka kamienicy Celejowskiej w Kazimierzu Fot. Z. Zugaj

Chichotać z bezsilności?

Ireneusz J. Kamiński

ZACZĘŁO się jakoś nietypowo, bo jesienią, normalnie temat „zabytki" pojawia się na łamach prasy wiosną, kiedy słońce grzeje, wiejskie drogi są już przejezdne, sioła i miasteczka wabią zielenią i egzotyką. W takiej to scenerii winien rozpocząć się doroczny lament nad stanem zabytków architektury i budownictwa w Polsce. Tymczasem pierwsze mocne uderzenie publicystyczne nastąpiło w dzień deszczowy, dwanaście miesięcy temu. Potem, aż do chwili obecnej, trwał nieprzerwanie atak: na odpowiedzialnych i nieodpowiedzialnych, na instytucje, na pomysły i idee...

W owym ataku brały udział: „Życie Literackie", „Argumenty", „Kamena", „Trybuna Ludu", „Życie Warszawy", „Kurier Lubelski", „Sztandar Ludu", radio i telewizja, „Kultura" i na pewno niejedna jeszcze redakcja. Najcięższa kanonada pobrzmiewała nad Lubelszczyzną — wiadomo, region rolniczy, trza go z gnuśności wytrącić.

Ledwo ucichło — na jak długo? — wokół kaplicy św. Trójcy na Zamku lubelskim, która już w złą legendę przeszła, małe i na ogół ciche Gardzienice znalazły się na celowniku. Poszło o siedemnastowieczną oficynę wchodzącą w skład zabytkowego kompleksu pałacowego, którą **Uniwersytet Ludowy** ZMW, użytkownik, zgłosił publicznie do rozbiórki, przetarg ogłaszając — za zgodą władzy konserwatorskiej, co szczególnie wzburzyło krytyków przypadku. Prasa lubelska i centralna ostro przejechały się po obu stronach, złączonych niecnym zamiarem zrównania z ziemią chylącej się ku ruinie budowli, w której „okolicy było siedlisko reformacji, działał m. in. Faustyn Socyn". O ile wiadomo, skoncentrowany atak środków masowego przekazu nie przyniósł oczekiwanych skutków, tyle że doprowadził do zawieszenia konserwatorskiej decyzji, lecz nie zdołał jej uchylić. Może więc w obecnej chwili miała ona racjonalne uzasadnienie?

Aktualnie mamy na wokandzie sprawę klasycystycznego pałacyku w podzamojskich Łabuńkach, o którego opłakanym stanie poinformował ostatni numer „Biuletynu Historii

Dokończenie na str. 8—9

Jak ocalono „Hołd pruski"

Wacław Staniszewski

WYBUCH drugiej wojny światowej zastał mnie na stanowisku nauczyciela religii w gimnazjum męskim i rektora kościoła św. Katarzyny w Zamościu. W pierwszych dniach września zjawił się u mnie mężczyzna lat około 40 oświadczając, że ma bardzo ważną i pilną sprawę do omówienia. Wprawdzie wymienił swoje nazwisko, ale dziś już go nie pamiętam, wiem tylko, że anonsował się jako wysłannik prezydenta Krakowa czy też Muzeum Narodowego. (...)

Mnie została powierzona misja (mnie — to znaczy owemu mężczyźnie — przyp. red.), przywiezienia obrazu Matejki „Hołd pruski" i ulokowania go w kościele św. Katarzyny w Zamościu, gdyż taka decyzja zapadła w Krakowie. Obraz przywiozłem, jest pod murem kościoła, a ksiądz jako rektor musi się nim zająć. Skończył i nie reagował nawet na pytania (...). Pożegnał się. Do dnia dzisiejszego nic o nim nie wiem.

Wobec takiego postawienia sprawy nie pozostawało nic innego jak zająć się przechowaniem obrazu. W ogrodzie zoologicznym, przylegającym do kościoła, spotykam założyciela i profesora gimnazjum męskiego, Stefana Milera i krótko relacjonuję mu całą sprawę. Razem sprawdzamy leżącą koło kościoła pakę: rzeczywiście długa około 9 metrów, w niej obraz zrolowany i zabezpieczony pancerzem blaszanym. Postanawiamy zawiadomić jeszcze burmistrza Wazowskiego, który niezwłocznie zjawił się. W trójkę decydujemy wciągnąć pakę do podziemi kościoła. Tymczasem okrywamy ją prowizorycznie, a burmistrz zobowiązuje się zorganizować grupę pewnych ludzi do po-

Dokończenie na str. 3

Tadeusz Peiper

Odezwa

Zbudujemy mały dom, dobrze? nowy kłos miasta.
Łyse sztandary wołające na was z koryta
słuchajcie:
nie wierzcie tym opuchłym poszewkom kłamstwa.
Zbudujemy nowy dom, co?
pod obłokiem z chwytnych pytań;
pod czerwcem o sutych dniach;
pod słońcem zabliźnionym dłonią
przynoszącą w godzinę porodów z ciemnego sadu
owoce które ranionych zbytnią prawdą — goją;
pod nowym budzikiem dusz;
pod wachlarzem z gamy a-dur;
na ziemi, tak;
na jej wymionach rozłożonych w palmy;
na jej ciepłych tłuszczach, na jej szczodrym zbożu;
dom z welinowego papieru; tak;
z tkanek liściących kroplami
śmietany; z osów; z górzystych odpowiedzi, co? dobrze?

Na Roztocze jedź z namiotem

Mirosław Derecki

CZEGO może się dowiedzieć przeciętny turysta o Roztoczu, a szczególnie o tej jego części, która przebiega przez Lubelszczyznę? Może się dowiedzieć że:

Roztocze zaznacza się na mapie jako wyraźny wał, przebiegający z północno-zachodu na południo-wschód, który łączy Wyżynę Lubelską z Podolem. Długość jego w granicach **Polski wynosi** *110 km. Wysokość kulminacji Roztocza nad poziomem morza wzrasta od 300 m. w części północno-zachodniej do 414 m. (poza granicami Polski) w części południowo-wschodniej. „Dowie się także iż: „Pod względem administracyjnym Roztocze Zachodnie i Środkowe wchodzi w skład woj. lubelskiego, a Roztocze Południowe niemal w całości do woj. rzeszowskiego. Roztocze Środkowe zwane jest również Roztoczem piaszczysto-wapiennym. Posiada ono duże zróżnico-*

Dokończenie na str. 5

Fot. Z. Zugaj

teatrnn.pl

Kultura 1971

Zmarli

* 62-letni plastyk krakowski Bronisław Schoenborn, zajmujący się głównie ikonografią i rysunkiem precyzyjnym. Od wielu lat utrwalał zabytki Krakowa.

* 65-letnia rzeźbiarka radziecka Jekaterina Biełaszowa, twórczyni wielu rzeźb portretowych i posągów, przewodnicząca radzieckiego związku artystów-plastyków.

* Wybitny francuski aktor dramatyczny i reżyser Jean Vilar. Był on twórcą i wieloletnim dyrektorem głośnego Theatre National Populaire, z którym występował również w Polsce. Był również aktorem filmowym.

Literatura

* W konkursie literackim ogłoszonym z okazji rocznicy III Powstania Śląskiego w dziale powieści I nagrodę otrzymał A. Baumagardten z Katowic, w dziale opowiadań I nagrodę A. Siekierski z Katowic, II — Zbigniew Strzałkowski z Lublina za pracę „Twarzą na zachód". Gratulujemy.

* Po drugiej wojnie światowej ukazało się w świecie około 4500 pozycji wydawniczych z zakresu polskiej literatury pięknej w przekładzie na 80 języków w 48 krajach. Jest to prawie 5 razy więcej niż w okresie przedwojennym. Z wszystkich tłumaczeń — 2960 przypada na 24 kraje Europy, z czego na kraje socjalistyczne 2850 pozycji.

* W Tomaszowie pod Łodzią odbyło się trzydniowe seminarium dla członków KKMP z całego kraju. Udział wzięło 100 osób.

* Aż w trzech pismach radzieckich równocześnie — „Raboczyj Kraj", „Literaturna Ukraina" i „Raboczyj Put" — ukazały się wiersze i noty biograficzne łódzkiego poety Władysława Strzeleckiego.

* Berlińskie wydawnictwo „Volk und Welt" w serii, poświęconej literaturze światowej, przewiduje wydanie w bieżącym i przyszłym roku 20 autorów polskich, m. in. Iredyńskiego, Brychta, Lenarta, Głowackiego, Redlińskiego.

* Łączny nakład książek z dziedziny literatury pięknej w ostatnich 50 latach w ZSRR przekroczył już 3 miliardów egzemplarzy.

* Paulette Godard, żona Ericha Remarque'a, przekazała pewnemu wydawcy w Monachium rękopis ostatniej powieści męża „Cienie w raju". Tematem jej jest podróż męża do USA w 1940 roku. Według jej oświadczenia autor przepisywał tę książkę 6 razy, szlifując tekst na coraz lepszy.

Teatr

* Za najlepszy spektakl XII Wrocławskiego Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych uznano „Żegnaj Judaszu" I. Iredyńskiego w wykonaniu zespołu Teatru Starego z Krakowa w reżyserii K. Swinarskiego i scenografii A. Cybulskiego.

* Na scenach norweskich w Oslo i Bergen występował warszawski teatr Ateneum ze sztuką Ibsena „Peer Gynt" w reżyserii Macieja Prusa.

* W wiedeńskim Burgtheater odbyła się austriacka prapremiera sztuki Eugene Ionesco „Zabawa w zabijanego". Reżyserował Kazimierz Dejmek, scenografię i kostiumy opracował Andrzej Majewski.

* Laurence Olivier otrzymał ostatnio tytuł honorowego członka Amerykańskiej Akademii Sztuki i Nauki.

Sztuka

* Najmłodszym chyba świątkarzem w Polsce jest 23-letni ślusarz Jan Giejson, zamieszkały w dolnośląskim miasteczku Bardo Śląskie. Ma w dorobku 400 prac głównie w drzewie, ostatnio przerzuca się na metal.

* W jednej z galerii paryskich czynna była wystawa polskiej sztuki prymitywnej, prezentująca prace Nikifora, Karulaka, Czajkowskiego, Skrętowicza, Surowiaka i innych. Krytyk tygodnika „Les Lettres francaises" nazwał wystawę „pasjonującą".

* W Brnie otwarto wystawę „Początki miast polskich w świetle źródeł archeologicznych", połączoną z cyklem wykładów. Ekspozycja będzie prezentowana w Pradze, Opawie i Bratysławie.

* UNESCO ogłosiło, że zabytkom starożytnej Kartaginy grozi zagłada, jeżeli nie podejmie się międzynarodowej akcji pomocy. Niebezpieczeństwo tkwi w olbrzymim rozwoju urbanistycznym Tunisu.

* W tzw. Hajmanowej Mogile na Ukrainie, stanowiącej grobowiec scytyjski, odkryto m. in. wyrzeźbioną w kości małą głowę mężczyzny — pierwszy znany nauce portret Scyty.

* W okolicy miasta Lecce we Włoszech południowych odkryto w pieczarze rysunki scen myśliwskich i podobizn ludzkich z okresu neolitu — podobne znane były dotąd jedynie w Hiszpanii.

* Na aukcji w Nowym Jorku zapłacono 280 tys. dolarów za słynną rzeźbę Degasa „14-letnia tancerka" oraz 1 200 tys. dolarów za płótno Van Gogha „Szpital św. Pawła w St. Remy", przedstawiające zakład dla psychicznie chorych, w którym przebywał malarz.

Muzyka

Poznański Chór Chłopięcy z dużym powodzeniem występował w USA. W dniu 21 maja, dniu amerykańskich zaduszek, pod statuą Paderewskiego w Doylestown chór złożył urnę z ziemią, przywiezioną z Warszawy.

* Słynna sopranistka amerykańska Regina Resnik, wspaniała odtwórczyni roli „Carmen", teraz osobiście przygotowuje w Paryżu inscenizację tej opery.

* Na czele listy przebojów w wielu krajach Europy, a także USA, coraz częściej znajdują się odpowiednio zaaranżowane utwory — Mozarta, który w ten sposób staje się najbardziej znanym kompozytorem pop. Ostatnio w Argentynie dokonano aranżacji słynnej symfonii G-moll, która teraz stała się bestsellerem.

Film

* Wkrótce rozpoczną się zdjęcia adaptacji „Chłopów" w reżyserii Jana Rybkowskiego. Do produkcji zatwierdzono 12 godzinnych odcinków.

* W ekranizacji „W pustyni i w puszczy" Stasiem będzie 16-letni uczeń liceum łódzkiego Tomasz Mędrzak, a rolę Nel zagra 9-letnia Monika Rosca, uczennica szkoły muzycznej z Łodzi. Wybrano ich z ponad 7,5 tys. kandydatów i kandydatek.

* Na festiwalu filmowym w Cannes dwie najważniejsze nagrody otrzymały: „Śmierć w Wenecji" Luchino Visconti'ego i „Posłaniec" Josepha Loseya, nagrodę za rolę kobiecą nie znana Amerykanka Kitty Win za „Panikę w Needle Park".

* 19 lipca otwarty zostanie w Moskwie Międzynarodowy Festiwal Filmowy. Pokazy odbędą się w kremlowskim Pałacu Zjazdów. Przewidziana jest dyskusja na temat „Film w walce o postęp społeczny". USA zrezygnowały z udziału w tym festiwalu.

* W zeszłym roku w „Mosfilmie" nakręcono 32 filmy pełnometrażowe i 19 krótkometrażowych. Produkcja tegoroczna ma być większa. M. in. S. Jutkiewicz przystąpił do ekranizacji „Płuskwy" Majakowskiego.

* Pierwszy „kryminał" w dorobku Leloucha cieszy się olbrzymim powodzeniem na ekranach nie tylko Francji. Dzięki wpływom z „Łobuza" reżyser założył w Paryżu własny klub, w którym pokazuje najciekawsze filmy świata. Ponadto pracuje obecnie aż nad 5 scenariuszami.

* Reżyser angielski Peter Attenborough aż siedem lat szukał aktora, który mógłby kreować rolę młodego Winstona Churchilla. Po zrobieniu próbnych zdjęć z 400 aktorami reżyser wybrał Simona Warda, który podobno „ma w oczach tę samą wizjonerską siłę".

* Charlie Chaplin o nowych prądach w kinematografii: „Moim zdaniem wiele jest w tym amatorszczyzny, zwłaszcza w tych filmach, które dla szokowania publiczności podejmują problemy seksu i narkotyków. Wszystko to uważam za modę przejściową. Żyjemy w okresie przemian i filmy te odzwierciedlają jedynie bieżącą chwilę".

Różne

* W Drukarni Narodowej w Krakowie trwają końcowe prace przygotowawcze do wydania drukiem offsetowym barwnej reprodukcji autografu Mikołaja Kopernika „De Revolutionibus orbium coelestium".

* Wzorem lat ubiegłych warszawska „Estrada" organizuje pod pomnikiem Nike wieczory poezji i muzyki z udziałem wybitnych artystów. Wieczory cieszą się wielkim powodzeniem.

* Gratka dla bibliofilów. PIW wydaje w 850 numerowanych egzemplarzach utrzymaną w XV-wiecznym stylu książkę „Stanisława Polonusa" — pierwszego polskiego drukarza, z jego oryginalnymi rysunkami.

* UNESCO wystąpiło z projektem zawarcia umowy międzynarodowej, mającej na celu ochronę kulturalnego dziedzictwa wszystkich krajów. Chodzi głównie o zwalczanie tzw. piratów archeologii.

* W Pradze oddano do użytku Dom Radzieckiej Nauki i Kultury. Na inauguracji byli obecni L. Breżniew oraz G. Husak.

* W londyńskiej Tate Gallery niejaki Robert Morris zapełnił salę bryłami betonu, żelaza i stali, piłkami ze sztucznego tworzywa, sznurami do wspinaczki itp. przedmiotami oraz nazwał to wystawą rzeźby. Wzburzyło to i krytyków i opinię publiczną.

* Wśród mieszkańców Werony olbrzymie poruszenie. Jak wykazały badania, dokumenty o tym, że w Weronie mieszkała rodzina Capulettich, okazały się sfałszowane. Rodzina ta w Weronie nigdy nie mieszkała, chociaż do dzisiaj pokazuje się jej grobowiec oraz dom z tablicą pamiątkową, w której rzekomo miała mieszkać. Ktoś nieznany dla ratowania wiary mieszkańców w Romea i Julię dopuścił się fałszerstwa.

* W Instytucie Sztuki Współczesnej w Bostonie wystawiono po raz pierwszy akwarele, malowane przez zamordowanego prezydenta USA Johna Kennedy'ego, a także kilka obrazów innych członków rodziny. John Kennedy zajmował się malarstwem w czasie swojej choroby kręgosłupa, później zarzucił je twierdząc, że nie ma talentu.

Vanessa Redgrave w „Rebusie" podczas scen kręconych w Bejrucie

Kamena str. 2

„Rudobrody"

Zygmunt Mańkowski

Z DYREKTYWY nr 21 Hitlera, przekazanej 18 grudnia 1940 roku naczelnemu dowództwu:

Niemieckie siły zbrojne muszą być gotowe, by jeszcze przed zakończeniem wojny z Anglią pobić Rosję Radziecką w toku krótkotrwałej kampanii (...). Znajdujące się w zachodniej części Rosji masy armii rosyjskiej mają być zniszczone w śmiałych operacjach przez głębokie wysunięcie naprzód oddziałów pancernych.

Należy przeszkodzić wycofaniu się zdolnych do walki oddziałów w głąb terytorium rosyjskiego(...). Ostatecznym celem operacji jest odgrodzenie się od Rosji Azjatyckiej na ogólnej linii Archangielsk — Wołga.

Przyjmując dyrektywę, jeden z generałów oświadczył: *W trzy tygodnie od chwili rozpoczęcia naszego uderzenia ten domek z kart się rozpadnie.*

* * *

Operacja przeciwko Związkowi Radzieckiemu rozpoczęta 22 czerwca 1941 roku otrzymała kryptonim „Barbarossa" (Rudobrody), nazwana tak na cześć cesarza Niemiec Fryderyka I, personifikującego w dziejach średniowiecznych Niemiec brutalny ekspansjonizm.

Uderzając na Związek Radziecki, Niemcy zmobilizowali ogromne siły militarne i ekonomiczne. W połowie 1941 roku bowiem władali praktycznie całym potencjałem technicznym i ekonomicznym Europy. Pod ich ciosami padały kolejno: Austria, Czechosłowacja, Polska, Dania, Norwegia, Belgia, Holandia, Francja, Grecja i Jugosławia. U boku ich stanęły liczne państwa satelickie i sojusznicze: Włochy, Rumunia, Węgry, Finlandia oraz Hiszpania. Nie sposób obliczyć dziś wartości dóbr materialnych zdobytych drogą podboju. Szacuje się je co najmniej na około 9 miliardów funtów szterlingów! Wystarczy powiedzieć, że np. w sprzęt samochodowy zdobyty we Francji zdołali wyposażyć aż 92 dywizje. Produkcja stali po podbojach wzrosła z 22 mln ton do 32 mln ton rocznie, a ropy naftowej z 8 do 10 mln ton. *Austria* — piszą ekonomiści radzieccy — *miała rudę żelazną, Czechosłowacja — mangan, piryty i drzewnik, Polska — węgiel, ołów i miedź, Rumunia — ropę naftową, Węgry — boksyty i piryty, Włochy — piryty, boksyty ołów i cynk, Francja — węgiel, rudę żelazną i boksyty.*

Rozwinięta więc w czerwcu 1941 roku wzdłuż granicy Związku Radzieckiego armia hitlerowska stanowiła ogromną, nie spotykaną dotąd w historii wojen światowych siłę. Składało się na nią 190 wyposażonych w najbardziej nowoczesny sprzęt dywizji, 3 700 czołgów, 50 000 dział i moździerzy oraz 4 900 samolotów. Siła ognia i ruchliwość przekraczały wszelkie ówczesne wyobrażenia. Niemcy byli tak pewni szybkiego zwycięstwa (Blietzkrieg), że nawet nie przewidywali odpowiedniego umundurowania i wyposażenia swych wojsk na okres zimy. Tuż za armią ciągnęły kolumny z blokami marmurów i piaskowców przeznaczonych na budowę wielkich pomników zwycięstwa w Moskwie i na Uralu.

* * *

Dziś już nikt nie potrafi sobie wyobrazić co spotkałoby świat, gdyby Hitler zwyciężył i w tej wojnie. Cele polityki Niemiec były skrajnie totalne. Nie chodziło tu bowiem wyłącznie o rozgromienie Związku Radzieckiego, o zwycięstwo militarne czy polityczne. Niemcy hitlerowskie sięgały po hegemonię nad całym światem. W jej efekcie ludzkość miała być poddana największej w dziejach tyranii. Jej ofiarą miały paść całe narody i rasy, przeznaczone do pełnej eksterminacji i biologicznego wyniszczenia.

W okresie gdy rozwijały się niemieckie działania „na wschodzie", grupa ekspertów w „niemieckim urzędzie rasy" opracowywała m. in. plan zniszczenia Żydów europejskich w rezerwatach między Bugiem a Wisłą oraz na Madagaskarze, a inna opracowywała „generalny plan wschodni" (Generalplan Ost) wyniszczenia ponad 30 milionów Słowian. Owe ludobójcze planowania miały następnie rosnąć w postępie geometrycznym. Wszystkie one zwiastowały światu ponurą przyszłość. A przecież nie były to plany efemeryczne.

Świat opamiętał się dopiero po 22 czerwca 1941 roku. Jeden z najwybitniejszych polityków II wojny światowej, z tradycji nieprzejednany przeciwnik Związku Radzieckiego, premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill, zdając sobie w pełni sprawę z groźby sytuacji, pośpieszył natychmiast z deklaracją: *Rosyjskie niebezpieczeństwo jest naszym niebezpieczeństwem i niebezpieczeństwem Stanów Zjednoczonych, tak jak sprawa każdego Rosjanina walczącego o swe ognisko domowe i swój dom jest sprawą wolnych ludzi i wolnych ludów na całym świecie.* Po wielu latach nastroje, jakie wówczas panowały na świecie, wyraził historyk angielski R. Seth: *Cokolwiek myślicie o komunizmie, jeśli jesteście uczciwi nie możecie nie zachwycać się Rosjanami i ich przywódcami wojskowymi ze względu na męstwo, wytrwałość i umiejętność, z jakimi powstrzymali Niemców (...) i w ostatecznym wyniku zmienili bieg wojny.*

Uderzenie na Związek Radziecki zrodziło ideę solidarności międzynarodowej. Powstał obozalianckí, zmienił się charakter polityczny wojny, zmienił się układ sił na frontach i zapleczach.

* * *

W czerwcu 1941 roku Związek Radziecki nie był należycie przygotowany do wojny. Jeszcze do lipca 1941 roku Niemcy posiadali przewagę liczebną. W grudniu 1941 roku na froncie walczyło ponad 4 miliony żołnierzy Armii Radzieckiej wobec ponad 5 milionów Niemców i ich satelitów. Niemcy posiadali o ponad 5 tysiące więcej dział i moździerzy i przewagę techniczną (jakościową) w czołgach i samolotach. Stan niepełnej dyspozycyjności pogłębiał woluntaryzm ówczesnych przywódców radzieckich, trwające reorganizacje w armiach oraz zbyt późne przestawienie radzieckiego przemysłu na produkcję zbrojeniową. Wykorzystując zaskoczenie, Niemcy wygrali bitwę graniczną i rozpoczęli szybki marsz w głąb terytorium ZSRR.

Ale w tych początkowych zwycięstwach tkwiły już wówczas zalążki klęski. Cofające się wojska radzieckie „kąsały" śmiertelnie. Według danych niemieckich już w sierpniu 1941 roku Rosjanie wyeliminowali z walki około 450 tys. żołnierzy oraz połowę sprzętu 14 dywizji nieprzyjacielskich poniosło straty osobowe w wysokości każda ponad 4 tys. żołnierzy i oficerów, 40 dywizji w wysokości każda po 3 tys. ludzi. Średnie tempo ofensywy zmalało z 30 km dziennie w pierwszych tygodniach, do 6—7 km na początku jesieni. Ostatecznie na zatrzymanie naporu wpłynęły trzy ważne epizody tej wojny: obronna bitwa pod Smoleńskiem, blokada Leningradu oraz bitwa pod Moskwą. 8 grudnia 1941 roku Hitler podpisał nową dyrektywę o przejściu wojsk niemieckich do obrony, ale w drugiej połowie lutego 1942 roku wojska radzieckie w wyniku przeciwnatarcia wyzwoliły już 11 tys. miejscowości i zepchnęły nieprzyjaciela o 120—400 km na wschód od Moskwy. Bronił się, mimo ciężkich strat, Leningrad. Podbita Europa odetchnęła.

* * *

Zwycięstwo Związku Radzieckiego nad III Rzeszą wymagało ogromnych wysiłków, kosztów i ofiar. W drugiej fazie wojny Rosjanie produkowali rocznie 12 tys. dział, 40 tys. samolotów, 30 tys. czołgów i ok. 200 mln pocisków artyleryjskich. Ogółem Związek Radziecki w produkcji zbrojeniowej przewyższał produkcję Niemiec 2,2 raza, USA 2,7 raza, Anglii — 3,7 raza. Produkował więcej dział niż Niemcy, USA i Anglia razem wzięte. I w tych wskaźnikach kryje się jeden z istotnych determinantów zwycięstwa. Głównym jednak czynnikiem było morale radzieckiego obywatela i żołnierza. W żadnym bowiem kraju walczącym w drugiej wojnie światowej ludność cywilna nie pracowała w tak trudnych warunkach i z takim poświęceniem na rzecz frontu. Nigdzie tak często i z takim uporem nie zasłaniano piersiami wylotów nieprzyjacielskich luf, nie taranowano samolotów samolotami. Wbrew też założeniom niemieckiej propagandy spoistość narodów Związku Radzieckiego okazała się nie do podważenia. Wśród odznaczonych za bohaterstwo na froncie żołnierzy i oficerów tytułem „Bohatera Związku Radzieckiego" znaleźli się przedstawiciele 100 narodów i narodowości. Na terytoriach zajętych przez okupanta, Ukrainie, Białorusi i Litwie, wybuchła wojna partyzancka, w orbicie której znalazło się półtora mln osób. Radziecki ruch oporu wyniósł ogółem ponad 1 000 partyzanckich zgrupowań i oddziałów.

Współczesna historiografia radziecka dostarcza wielu dowodów do tezy o czołowej roli Związku Radzieckiego w latach II wojny światowej. Oto niektóre z nich. W latach 1941—1943 wiązał on na swym froncie od 57 do 70 procent wszystkich sił, jakimi dysponowała III Rzesza. Od lutego 1943 roku do zakończenia działań wojennych Armia Radziecka rozbiła, zniszczyła lub wyeliminowała z walki około 800 dywizji hitlerowskich. Z globalnych strat jakie ponieśli Niemcy w toku wojny, na radziecki teatr wojenny przypada 75 procent rozbitych dywizji, 75 procent strat w ludziach i 77 procent zniszczonych samolotów.

* * *

W czasie obrad w Teheranie tzw. Wielka Trójka złożyła zgodne oświadczenie, że *Związek Radziecki rozwinął pełnię swych zasobów gospodarczych i wojskowych* w wojnie z Niemcami hitlerowskimi. Dodajmy i to, że wykazał niezwykłe opanowanie, wielką spoistość i olbrzymie poczucie odpowiedzialności za losy własnego kraju, narodu i... świata. Nie wszyscy bowiem zdają sobie sprawę z tego, jak blisko był faszyzm niemiecki zwycięstwa nad Europą i światem, jak bardzo zagrażał ludzkiej egzystencji i ludzkiemu poczuciu prawa i sprawiedliwości.

Za Bugiem

W MAJOWYM numerze kijowskiego miesięcznika „Witczyzna" Pawło Zahrebelnyj rozpoczął druk nowej powieści. Nosi ona tytuł „Przechodzimy do miłości" i jest jakby dalszym ciągiem drukowanej w poprzednich numerach powieści „Z pohładu wiecznosti". Proza P. Zahrebelnego jest bardzo świeża i nowoczesna w swej formie i treści, wiele w niej filozofii trzeźwego rozumu, tkwiącej korzeniami w mądrości ludowej, w żadnym wypadku nie nużąca. Bogaty język, dowcipna frazeologia. Bohaterami są na ogół młodzi technicy i naukowcy, pokazani ze swymi prawdziwie ludzkimi wadami, zaangażowani jednak twórczo w pracę. Są oni niezwykle krytyczni wobec tego, co się wokół nich dzieje, szczególnie nie lubią fasadowości, pustosłowia, drobnomieszczeństwa naszych czasów.

Wołodymyr Briuhhen pisze o współczesnej satyrze ukraińskiej. Zauważa, że minęły już lata, kiedy pisano „łagodną satyrę". W ostatnich latach twórczość satyryczną zaczęli uprawiać nawet tacy mistrzowie liryki na Ukrainie, jak L. Perwomajski, I. Dracz, W. Korotycz, D. Pawłyczko i inni. Autor w tonie dyskusyjnym omawia kilka ostatnich zbiorków ukraińskiej satyry, które ukazały się przeważnie w „Bibliotece Pereć" (Pieprz). Na marginesie można poinformować, że jest to ukraiński odpowiednik rosyjskiej „Biblioteki Krokodila". Zwraca też uwagę na rozwiniętą ostatnio na Ukrainie parodię, która jest jedną z lepszych form satyry. Uzasadnia też powiązanie tych współczesnych utworów z twórczością wybitnego Ostapa Wyszni oraz z ludowym spojrzeniem przez śmiech na otaczającą rzeczywistość.

Czytamy w tym numerze „Witczyzny" o Wasylu Stefanyku, niezwykle oryginalnym noweliście ukraińsko-galicyjskim, którego setna rocznica śmierci obchodzona była ostatnio. Dobry esej „Czytając Stefanyka" umieściła tu Mychajłyna Kuciubyńska. Zwraca uwagę na takie momenty jego twórczości i osobowości, jak dogłębne wnikanie w psychologię postaci, niechęć do „deklamacji", wyrażoną dobitnie przez niego samego: „Lepszy już surowy materiał, żeby nie było deklamacji", zamiłowanie w pokazywaniu tragicznych losów człowieka, bliskie powiązania ze wsią rodzinną, umiłowanie prawdy w szerokim tego słowa znaczeniu, w tym również prawdy artystycznej, skromność wobec otoczenia. „Sztuka w pojęciu Stefanyka — pisze M. Kuciubyńska — to nie tylko estetyka, lecz przede wszystkim — etyka". A następnie: „Każdy utwór był dla niego nie tylko „faktem słowa", ale też „faktem życia". Stefanyk pisał o chłopach ukraińskich tak prawdziwie, że nawet wtapiał w swoją twórczość ironię, był jednak przeciwnikiem „romantycznego patrzenia na lud".

Wasyl Łesyn przedstawia natomiast historię zainteresowania się twórczością W. Stefanyka wśród Ukraińców, a także wśród innych narodów. Współcześni zarzucali Stefanyka „psychologiem duszy chłopskiej", „poetą chłopskiej rozpaczy", „największym nowelistą chłopskim w Europie". Autor artykułu wspomina również o zainteresowaniu się twórczością Stefanyka przez społeczeństwo polskie. Już w rok po pojawieniu się pierwszego zbiorku T. Michalski pisał: „Stefanyk to wspaniały znawca chłopa i jego duszy w jej najgłębszych przejawach". Stefanyk według niego „odkrywa duszę chłopską". Oceniali i popularyzowali Stefanyka tacy Polacy, jak J. Pietrzycki, W. Moraczewski, W. Dzikan i inni. Twórczość jego jest do dziś wysoko ceniona, a nawet twórczo naśladowana przez współczesnych pisarzy ukraińskich.

Ciekawy dla nas może być również artykuł O. Fedoruka o malarstwie polskim wykorzystującym motywy ukraińskie. Wspomina się tu takie nazwiska, jak P. Michałowski, S. Masłowski, J. Matejko, A. Grottger, L. Wyczółkowski i inni.

M. L.

Jak ocalono „Hołd pruski"

Dokończenie ze str. 1

mocy. Jeśli będzie można to nawet obraz zamurujemy na pewnej głębokości. Dodatkowo wtajemniczyłem jeszcze ks. Zawiszę, administratora parafii kolegiackiej i ks. Kowalskiego, prefekta gimnazjum żeńskiego.

Zgodnie z planem wieczorem stawili się wszyscy wtajemniczeni, burmistrz przyprowadził swoją ekipę murarzy z Michałem Radziejowskim (innych nazwisk nie pamiętam). Ks. Zawisza odebrał od wszystkich przysięgę zachowania tajemnicy i przy świetle świec przystąpiono do pracy. Trwała ona niemal całą noc, ale odgłosy młotów murarskich jak i przyciszone głosy zatrudnionych zwróciły uwagę mieszkańców najbliższych domów. W końcu udało się pakę wciągnąć do podziemi. Poranny ruch na ulicach nakazał zakończyć pracę. Stąd po uzupełnieniu tynków okiennych wszyscy rozeszli się. Na razie sprawę przechowania obrazu „Hołd pruski" uważaliśmy za zakończoną w tym mocnym przeświadczeniu, że Niemcy nigdy do Zamościa nie dojdą. (...)

Pod koniec września wojska niemieckie zaczęły się wycofywać (z Zamościa — przy. red.), a ich miejsce zajmowały wojska radzieckie. Ale po kilku dniach wojska radzieckie wycofały się na linię Bugu, a Zamość znów zajęli Niemcy. (...) Jak było do przewidzenia nocna praca przy ukrywaniu obrazu znalazła swój rezonans. Czterech nieznanych ludzi otworzyło kościół. Splądrowali oni zakrystię i ołtarz główny, przedostali się do podziemi, oderwali deskę z paki, rozpruli blaszany pancerz i obraz uszkodzili. Chodziła bowiem wieść, że tam jest ukryty skarb. Całą tę akcję obserwował z ukrycia woźny gimnazjum żeńskiego, w którego mieszkaniu ja się ukrywałem. Rzekomy skarb okazał się dla włamywaczy rzeczą bezwartościową, więc pozostawili go na miejscu. Profesor Miler wraz z burmistrzem Wazowskim i studentem medycyny Reisserem w czasie niedzielnego nabożeństwa, by nie wzbudzić podejrzeń, obraz naprawili.

Gwarancja zabezpieczenia obrazu przed dostaniem się w ręce okupanta zawisła w powietrzu. Ale może znajdzie się jakieś alibi? Po naradzie z burmistrzem i profesorem postanowiłem wykorzystać czas zanim wojska niemieckie zadomowią się w Zamościu. Bezpośrednio po ich wkroczeniu do miasta udałem się do komendanta placu i zameldowałem, że w dniu wyjazdu wojsk radzieckich kościół został przez nieznane osoby otwarty i splądrowany, że wiele rzeczy zginęło. Prosiłem o sprawdzenie i wydanie mi odpowiedniego zaświadczenia. Ale paka z obrazem była nadal w podziemiach, nie było możliwości przenieść jej w inne miejsce. W wypadku dokładnej rewizji wszystko mogło być stracone. Jakoś udało mi się pakę zakryć różnymi starymi gratami w przeczuciu, że do podziemi nie pójdą, a ja będę tłumaczył, że tam są groby zmarłych.

W komendanturze przyjęto mnie dość grzecznie i wyznaczono żołnierza do sprawdzenia sprawy na miejscu. Żołnierza udało mi się zatrzymać przy wejściu i całą jego uwagę skupić na rozbitym zamku i na drzwiach, które oglądał ze wszystkich stron, coś mrucząc pod nosem. Z daleka pokazałem mu ołtarz główny, poprzewracane lichtarze i pozdzierane obrusy. Popatrzył i razem wróciliśmy do komendantury, gdzie mi wypisano zaświadczenie o włamaniu do kościoła i dokonanej w nim kradzieży.

(...) Pewnego dnia burmistrz Wazowski przekazał mi wiadomość, iż Niemcy po wkroczeniu do Krakowa wiedzieli, gdzie jest ukryty obraz Matejki. Mieli nawet wysłać specjalną grupę gestapowców, którzy jednak nie dotarli do Zamościa, zajętego już przez wojska radzieckie. Wniosek stąd jasny: trzeba pomyśleć o zmianie miejsca ukrycia obrazu, bo inaczej dostanie się on w ręce okupanta, to tylko kwestia czasu.

Co robić? Gdzie ukryć obraz? Te pytania niepokoiły nas kilka wieczorów. We trójkę rozważaliśmy różne możliwości. Chodziło nie tylko o znalezienie odpowiedniego miejsca, ale i sposób przetransportowania obrazu. Najbardziej realny wydawał się projekt wykonania dużej trumny, ewentualnie pomalowanie paki i przewiezienie jej do jakiegoś grobowca na cmentarzu — jako nieboszczyka z księdzem i krzyżem. (...)

Sprawa jednak przybrała inny obrót. Burmistrz Wazowski otrzymał pozwolenie na aprowizowanie Zamościa i z tej racji często wyjeżdżał do Krakowa. Tam udało mu się nawiązać łączność z pracownikami Muzeum Narodowego inż. Torem, kustoszem Buczkowskim i innymi. Wspólnie ustalono, że obraz musi być przewieziony w bezpieczniejsze miejsce. Początkowo miały to być Niepołomice, w końcu zdecydowano, by obraz przewieźć znów do Krakowa, bo należało przypuszczać, że gestapo będzie go szukało w Zamościu. Całą sprawę transportu wziął na siebie Wazowski, stwarzając przez to pewne alibi dla mnie. Wszystko zostało pomyślnie zrealizowane.

Podziwiać należy odwagę burmistrza Wazowskiego, który ze swoją grupą ludzi (przypominam sobie tylko Radziejowskiego, innych nazwisk nie pamiętam) z zimną krwią, niemal na oczach okupanta, zasłaniając bezcenny ładunek różnej wielkości paczkami ustawionymi na uliczce, wiodącej do kościoła, załadował obraz i wywiózł go. Relacjonował mi o całej akcji prof. Miler, który z ogrodu zoologicznego obserwował sprawność tej pracy. A w najbliższą niedzielę burmistrz pokwitował to krótkim powiedzeniem: wszystko załatwione.

W listopadzie 1939 roku gestapo w Zamościu daje znać o sobie. Gimnazja męskie i żeńskie zostają zamknięte, rozpoczyna się masowe wypędzanie Żydów, fala pojedynczych aresztowań. Szczególne zainteresowanie gestapowców budzi kościół św. Katarzyny. Zjawiają się w czasie nabożeństw, pilnie się rozglądają, przychodzą do zakrystii pytając, czy tu zawsze były odprawiane nabożeństwa, czy też dopiero od czasu wojny. Odpowiadam spokojnie, dziękują podniesieniem ręki i wychodzą.

W początkach maja 1940 roku zjawiło się w zakrystii dwóch gestapowców prosząc, bym ich oprowadził po kościele. Jednonawowy kościół nie krył w sobie nic szczególnego. Ale z ich zaglądania za ołtarz i na chór zrozumiałem o co chodzi. Byli dość uprzejmi, pożegnali się i poszli.

Roztropność nakazywała, aby na jakiś czas usunąć się z Zamościa. Wyjechałem do swego kolegi w Łabuniach. Ale pewnego dnia w tamtejszej plebanii zjawiło się dwóch cywilów pytając o mnie. Poznaję jednego z nich — to gestapowiec nazywany w Zamościu „Rudy", który swego czasu zwiedzał kościół. Dziwią się, że mnie tu spotykają, ale każą zabrać płaszcz i jechać z nimi do Zamościa celem wyjaśnienia pewnej sprawy. (...)

Samochód zatrzymuje się przed domem Czerskiego, siedzibą gestapo. Prowadzą mnie na pierwsze piętro. Jeden zatrzymuje mnie w niewielkim korytarzu, drugi wchodzi do sali, z której dochodzą jakieś nieludzkie wrzaski. Przez półotwarte drzwi widzę skrwawionego człowieka, nad którym wrzeszczy gestapowiec. (...) Pokój prawie pusty, stoi jedynie stół i dwa krzesła. Zbliża się wieczór, a ja siedzę i czekam. Czasem słyszę wrzaski, jęki i od czasu do czasu strzały jak by z suteryny. Widocznie dokonywano egzekucji na miejscu. (...)

Następnego dnia koło godziny 9 zostaję wezwany do dość obszernej sali, w której za stołem siedzi esesman z papierosem w ustach i patrzy na mnie złośliwie, a potem wskazuje mi miejsce. Obok tłumacz, a przez wewnętrzne drzwi wchodzi i wychodzi z papierami „Rudy". Przesłuchanie rozpoczyna się od spisania personaliów, wreszcie pada pytanie: gdzie jest obraz Matejki „Hołd pruski"? Cóż mogłem odpowiedzieć? Wyrażam zdziwienie i powiadam, iż nie wiem o co chodzi. Widzę skurcz na twarzy gestapowca, który już nie mówi ale wrzeszczy: pytam jeszcze raz, gdzie jest „Hołd pruski"?

Ponownie odpowiadam, że nie wiem o co chodzi, że ja żadnego obrazu nie widziałem. Jak to — pieni się ze złości — nie wiesz, ty jesteś zarządcą kościoła, do ciebie przywieziono obraz z Krakowa, tyś go schował, gdzie on jest?! Wstaje, wyciąga rewolwer, celuje we mnie i dalej wrzeszczy: ja ci pokażę tego, który przywiózł obraz z Krakowa, a potem zastrzelę cię na miejscu, ty polski popie!

Znów odpowiadam spokojnie, że żadnego obrazu nie widziałem, a z Krakowa przywieziono do mnie nie żaden obraz tylko pakę. Co w niej było nie wiem. Paka była złożona w kościele, ale w dniu wyjazdu wojsk radzieckich nieznani ludzie włamali się do kościoła i splądrowali go, zginęło wiele rzeczy kościelnych. Co się stało z paką nie wiem do dnia dzisiejszego. A na dowód kradzieży mam zaświadczenie komendantury placu, którą natychmiast po kradzieży zawiadomiłem, innych urzędów w tym czasie nie było. (...)

Schował broń i tonem bardzo grzecznym każe mi przynieść zaświadczenie, dając „do towarzystwa" esesmana. Przynoszę pismo które stwierdzało, że *w dniu wycofywania się wojsk radzieckich na linię Bugu nieznane osoby dokonały włamania do kościoła św. Katarzyny w Zamościu, wiele rzeczy kościelnych zabrali, inne uszkodzili* — pod tym pieczęć i podpis. Mój rozmówca ogląda zaświadczenie ze wszystkich stron, czyta i spogląda na mnie. Widać, że mu nie bardzo przypadło do gustu, ale nie mógł przecież zanegować ani podpisu ani pieczęci. Po namyśle odkłada zaświadczenie i pyta, dlaczego na początku przesłuchania nie powiedziałem, że kościół został okradziony. Nie mówiłem — odpowiadam tłumaczowi — gdyż nie byłem pytany o kościół tylko o jakiś obraz, a ja żadnego obrazu nie widziałem.

Następuje chwila przerwy, wyciąganie różnych papierów, przeglądanie, wreszcie jeszcze jedno pytanie — czy przypadkiem nie wiem, gdzie znajduje się obraz „Bitwa pod Grunwaldem", na które bez namysłu odpowiadam: nie wiem (...)

Po powrocie do domu wyjaśniła się sprawa aresztowania mnie w Łabuniach. Opowiadał mi o tym ks. Trochonowicz, a i dziś jeszcze zakrystian Władysław Klimek wspomina dzień, w którym dwóch gestapowców i dwóch cywilów przyprowadziło ks. Trochonowicza (dziś już nieżyjącego) do kościoła, żądając otwarcia. Ks. Trochonowicz był wikariuszem w kolegiacie, o przechowywaniu obrazu wiedział tylko ubocznie. Wyjaśnił gestapowcom, że kościołem zarządza ks. Staniszewski, a klucze kościoła może są u zakrystiana.

Gestapowcy udali się do mieszkania Klimka i wrócili z nim oraz kluczami. Kazali sobie otworzyć drzwi do podziemi. Jeden z gestapowców wziął świecę i wszyscy weszli do podziemi. Tam po krótkim rozejrzeniu się pytają Klimka, gdzie jest „Hołd pruski". Zakrystian odpowiada, że nic nie wie o żadnym obrazie. Jeden z cywilów podpowiada, że Klimek wie dobrze i powie, tylko trzeba go nacisnąć. Gestapowiec uderzeniem powalił Klimka na ziemię i kopiąc go wrzeszczał: gdzie jest obraz schowany tu jesienią? Klimek mówi o włamaniu, ale to nic nie pomaga, gestapowiec znęca się nad nim dalej. (...)

W podziemiach kościoła Klimek, po wyprowadzeniu ks. Trochonowicza zapytany, kto chował obraz — powiedział, że wśród ludzi mało mu znanych był Michał Radziejowski. Pojechali więc szukać Radziejowskiego. Na ul. Powiatowej powiedziano im, że teraz mieszka on na Borowinie. Kiedy znaleźli się na Borowinie, Klimek z daleka widzi Radziejowskiego. Prosi gestapowca by się zatrzymał, bo właśnie tego człowieka chce się zapytać, gdzie mieszka poszukiwany. Gestapowiec zatrzymuje się. Klimek pyta Radziejowskiego, gdzie mieszka Radziejowski. Ten wskazuje jakiś dom w środku wsi i gdy samochód ruszył znika bez śladu. (...)

Może zbyt obszernie opisałem sprawę przechowywania obrazu „Hołd pruski". Ale zrobiłem to celowo, gdyż na ten temat już w czasie okupacji jak i po wojnie pojawiały się różne wersje, oparte raczej na domniemaniach niż na prawdzie. Oprócz osób tu wymienionych nikt bezpośrednio nie był wtajemniczony w sprawę przechowywania obrazu. (...)

Wacław Staniszewski

Fot. CAF

„Hołd pruski" w Zamościu

Eugeniusz Tor

(...) Tegoż dnia (1 września 1939 roku — przyp. red.) o godzinie 5 po południu, zaopatrzony w listy polecające do starostów i burmistrzów miast, opuściłem Kraków. Obraz wieziono samochodem ciężarowym miejskim prowadzonym przez dwóch szoferów pod konwojem Romana Wazowskiego, dyrektora Szkoły Handlowej z Rybnika, brata burmistrza w Zamościu (...). Dnia 2 września we wczesnych godzinach porannych wyjechaliśmy z Tarnowa. W Zamościu znaleźliśmy się tegoż dnia około godziny 16 wieczorem. Nazajutrz w godzinach przedpołudniowych w gabinecie miejscowego starosty Mariana Sochańskiego odbyła się konferencja w sprawie obrania miejsca ukrycia obrazu. W konferencji wzięli udział prócz wymienionego starosty burmistrz miasta Michał Wazowski, ks. dr Staniszewski i ja. Przyjęto zgodnie, żeby wobec znajdujących się już w podziemiach kolegiaty zbiorów katedralnych z Pelplina obraz umieścić w podziemiach kościoła św. Katarzyny.

Tegoż dnia po zapadnięciu zmroku przewieziono obraz z remizy straży pożarnej przed kościół św. Katarzyny. Przedtem zaś poczyniono przygotowania w podziemiach i powiększono otwór okienny prowadzący od strony wschodniej kościoła do podziemi. Ponieważ paka z obrazem ważyła około 500 kg, zachodziła konieczna potrzeba zaangażowania kilkunastu ludzi do jej przeniesienia z samochodu do podziemi. Użyto do tego celu służbę miejską, którą przeznaczył burmistrz (...).

Bombardowanie Zamościa dnia 9 września i szybkie posuwanie się wojsk niemieckich w głąb Polski skłoniło mnie do powzięcia zamiaru zakopania skrzyni w podziemiach. W tym celu zaangażowałem murarza, który już pracował poprzednio przy powiększaniu otworu okiennego i był zaprzysiężony, by jak najprędzej tę robotę wykonał. Niestety, po wykopaniu dołu około 25 cm głębokości natrafiono na mury sklepień głębszych kondygnacji podziemi, musiano więc roboty zaniechać. (...)

Kiedy po ponownym zajęciu Zamościa przez wojska niemieckie 20 października 1939 roku mogłem po raz pierwszy dostać się do podziemi kościoła, znalazłem obraz w następującym stanie: wieko skrzyni odbite przez podważenie, rura metalowa wyjęta i rozpruta z jednego końca do długości 2 metrów, przed rurą w stanie pogiętym, sfalowanym porzucony obraz, częściowo przyprószony piaskiem i odpadkami gruzu.

Po porozumieniu się z ks. dr Staniszewskim ustaliłem dzień 23 października na doprowadzenie obrazu do możliwego stanu. Do tej pracy poprosiłem Romana Wazowskiego, studenta med. Mieczysława Riessera i profesora gimnazjum zamojskiego Stefana Milera. Po przygotowaniu odpowiedniej ilości płótna, papieru, sznurów, nici, igieł itp. udaliśmy się w godzinach rannych do kościoła. Każdy z nas coś niósł pod płaszczem. Miejsce zbiórki wyznaczone było przed kościołem. (...)

Zaopatrzony w dokumenty niemieckie (chodziło o zezwolenie na przejazd bez podania, co rzeczywiście się przewozi — przyp. red.) i pieniądze, 11 listopada 1939 roku dr Kazimierz Buczkowski, kustosz Muzeum Narodowego (w Krakowie — przyp. red.) udał się do Zamościa celem przetransportowania obrazu z powrotem do Krakowa. Po załatwieniu na miejscu spraw formalnych z landratem Niemcem, lecz bez porozumienia się z gestapo, dr Buczkowski przy pomocy kilku osób dostarczonych mu przez burmistrza zapakował obraz do skrzyni, ale już bez rury metalowej, która była nie do użycia. W całej tej pracy okazał wybitną pomoc i pełne obywatelskie zrozumienie burmistrz miasta Michał Wazowski. Pomoc jego tym bardziej zasługuje na podkreślenie, że Zamość był w tych miesiącach, jak zresztą w czasie całego okresu okupacji, objęty niezwykłym terrorem. Każdy podejrzany krok mógł pociągnąć za sobą aresztowanie i stąd najdalej idące konsekwencje. Bardzo też czynną pomoc przy pakowaniu obrazu okazał p. Stanisław Wiktorowicz z miejskiej elektrowni.

Dnia 17 listopada 1939 roku wieczorem przybył dr Buczkowski z obrazem do Krakowa. Na drugi dzień pakę przetransportowano do Muzeum Czapskich i tam przechowano aż do końca okupacji.

W kilka dni po przewiezieniu obrazu do Krakowa niemiecki zarząd miasta otrzymał z Zamościa depeszę od gestapo z żądaniem wyjaśnienia faktu transportu tajemniczej paki i **podania jej zawartości**. Na skutek zręcznego wyjaśnienia dyr. Kopery (dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie — przyp. red.) ówczesnemu burmistrzowi Krakowa Zoernerowi, otrzymało gestapo w Zamościu odpowiedź, że paka zawierała obraz z krakowskiego Muzeum neutralnej treści. W ten sposób sprawa ucichła na całe lata. (...)

Sprawy związane z przechowaniem w Lublinie podczas okupacji słynnego obrazu Matejki „Bitwa pod Grunwaldem" są dość znane. O wiele mniej i to niedokładnie znany jest epizod z okresowym przechowywaniem w Zamościu innego matejkowskiego arcydzieła — „Hołd pruski". W obszernych wyjątkach zamieszczamy wspomnienia dwóch osób, które brały bezpośredni udział w ocaleniu tego wielkiego skarbu narodowego. Autorem pierwszego wspomnienia jest ks. dr Wacław Staniszewski zamieszkały w Zamościu. Wspomnienia jego zostały wyróżnione na konkursie dla byłych więźniów Zamku lubelskiego, ogłoszonym przez Muzeum Okręgowe oraz Muzeum na Majdanku. Wkrótce po odtransportowaniu obrazu z powrotem do Krakowa ks. Staniszewski został aresztowany przez Niemców i osadzony najpierw w więzieniu na Zamku lubelskim, a następnie do końca wojny przeszedł gehennę w obozach koncentracyjnych w Sachsenhausen, Oranienburgu i Dachau.

Trzeba także dodać, że ówczesny burmistrz Zamościa Michał Wazowski wraz z synem został w lipcu 1941 r. zamordowany w zamojskiej Rotundzie, natomiast do dzisiaj żyją Michał Radziejowski oraz Władysław Klimek. Mimo pobytu na lubelskim Zamku wojnę przeżył także przedwojenny starosta Zamościa — Marian Sochański.

Autor drugiego wspomnienia, inż. Eugeniusz Tor, w latach 1935—1945 był dyrektorem Muzeum Przemysłowego w Krakowie, a po wojnie wiceprezydentem tego miasta. Jego żoną była siostra burmistrza Wazowskiego. Pełny tekst wspomnienia inż. Tora pt. „Hołd pruski" Matejki w Zamościu" został opublikowany w II tomie wydawnictwa „Zamojszczyzna w walce z Niemcami 1939—1944", publikowanego przez dr Zygmunta Klukowskiego.

TADEUSZ PEIPER

NIEDAWNO minęła 80 rocznica urodzin wybitnego poety i krytyka, a przede wszystkim teoretyka polskiej awangardy poetyckiej — Tadeusza Peipera. Rocznica, której nie zauważyła pokaźna większość naszych czasopism kulturalnych.

Okres pierwszej wojny światowej Peiper spędził w Hiszpanii. W latach 1922—1923 i 1925—1927 redagował w Krakowie czasopismo „Zwrotnica", które było organem grupy poetów znanej jako Awangarda Krakowska — głównie J. Przyboś, J. Brzękowski i J. Kurek (również teoretyk Awangardy). Program Awangardy — m. in. ukazanie człowieka na tle nowej cywilizacji urbanistyczno-technicznej, zbliżenie poezji do życia codziennego i mowy potocznej, pojmowanie metafory jako rodzaju skrótu językowego opartego na odległych skojarzeniach obrazowych i podjęciowych — był opozycją wobec poezji młodopolskiej, grupy Skamandra, futuryzmu i ekspresjonizmu. Jego wpływy natomiast były widoczne w wileńskich „Zagarach" i lubelskim „Reflektorze" oraz u Czechowicza.

Peiper debiutował w roku 1924 zbiorem poezji pt. „A" (który zawierał także rekonstrukcje zaginionych wierszy z poprzednich 10 lat), w tym samym roku ukazały się „Żywe linie", pięć lat później „Raz", w 1931 roku poemat „Na przykład", następnie „Poematy". W okresie przedwojennym napisał także dwa utwory teatralne: „Szósta! Szósta" i „Skoro go nie ma" oraz powieść „Ma lat 22". Po wojnie opublikował: powieść „Krzysztof Kolumb odkrywca" oraz przekład Lope de Vegi „Psa ogrodnika". W kształtowaniu programu polskiej awangardy poetyckiej zasadniczą rolę odegrała jego publikacja „Nowe usta" (1925) oraz artykuły i szkice, zebrane w tomie „Tędy" (1930). Zmarł 9 września 1969 roku.

Tegoroczny „Maj poetycki" w Toruniu poświęcony był w całości właśnie Tadeuszowi Peiperowi. Najbardziej interesujące było tu wystąpienie Zbigniewa Bieńkowskiego, który zastanawiał się nad konsekwencjami jego poetyki i poezji.

Zastrzegając się na wstępie, że nie jest i nigdy nie był „Peiperystą", Bieńkowski oświadczył, że dzieło Peipera odgrywa ważną rolę we współczesnym obrazie poezji. Przypisał on autorowi „Nowych ust" szczególne znaczenie jeśli chodzi o przezwyciężanie impasu w jaki — zdaniem Bieńkowskiego — wpędziły obecnie poezję tendencje: lingwistyczna i nieoklasycystyczna. Pierwsza z nich, wyrażając nieufność do słowa i obrazu poetyckiego, do wzruszenia — charakteryzuje się zbyt wielką ścisłością, matematycznością słowa. Obraz zostaje tu zastąpiony przez równanie. Jest to zjawisko ujemne, zawężające lirykę i „wysuszające" ją. Stan taki widoczny jest zwłaszcza w wierszach naśladowców Tymoteusza Karpowicza. Jeśli chodzi o neoklasycyzm (Jarosław Marek Rymkiewicz i jego „Szkoła"), to programowym założeniem tego kierunku jest właśnie nieautentyczność.

W takiej sytuacji dzieło Peipera — z jego wiarą w maksymalne odbijanie świata, wiarą w słowo, w siłę ekspresji, z jego akceptacją cywilizacji i ludzkiej energii — podkreślał Bieńkowski — jest bardzo na czasie. Peiper szeroko wykorzystał w swej poezji walory mowy potocznej, wracał do jej żywiołu, był ekstrawertykiem — chłonął świat. Wskazywał na ekspresję jako na pierwszy środek poetyckiego wyrazu. Słowo Peipera jest rozpustne dla celów estetycznych — mówił Bieńkowski. — Ta poezja ma do spełnienia wielką rolę: otwarcie tam...

Za dzisiejszych uczniów Peipera wśród naszych młodych liryków Bieńkowski uważa Stanisława Barańczaka, Ryszarda Krynickiego i Andrzeja K. Waśkiewicza.

Wystąpienie Bieńkowskiego wywołało pełną kontrowersji dyskusję. Byli tacy, którzy odnajdywali wpływy peiperyzmu nawet w poezji liryków jak Wirpsza, Herbert, a także... Różewicz. Z drugiej strony podkreślano bardzo słabą znajomość twórczości Peipera u naszych pisarzy, zwłaszcza młodych. To ostatnie szczególnie podkreślał Jalu Kurek.

Myśli

Nazwa uczucia fałszuje uczucie, odbiera mu jego odrębność, uniemożliwia mu zgięcie i przegięcie, odkształca jego ruch, a kiedy zmierza do korektury tych fałszów, kiedy szuka ratunku w uzupełnieniach i cieniowaniach, popada w opis, bezsilny wobec natury uczuć. Poezja nie powinna uczuć nazywać, lecz dawać im odpowiedniki. **(„Tędy").**

(Metafora) jest samowolnym spokrewnianiem pojęć, tworzeniem związków pojęciowych, którym w świecie realnym nic nie odpowiada. Nie jest więc środkiem realistycznego odtworzenia świata. Nie jest niewolniczym inwentaryzowaniem rzeczywistości. Nie jest opisem. Przenosząc pojęcia z dzielnic do których one metrykalnie nie należą, metafora przekształca rzeczywistość doznań i przetwarza ją na nową rzeczywistość, rzeczywistość czysto poetycką. **(„Zwrotnica" nr 3).**

Nie słowo, lecz zdanie powinno być początkowym zamiarem tworzenia poetyckiego. Nie silne zdanie, lecz piękne zdanie powinno być początkowym zamiarem tworzenia poetyckiego. (...) Poezja podnosi rzeczywistość w odrębny świat zdania, stwarzając słowne ekwiwalenty rzeczy. Rozwój poezji polega na tym, że słowny ekwiwalent oddala się coraz bardziej od imienia rzeczy. **(„Nowe usta").**

Z rytmów poetyckich ten jest lepszy, który odpowiada zdaniu treściowo lepszemu: doskonałym rytmem poetyckim jest r y t m w ł a s n y takiego zdania, którego treściowa budowa jest doskonała. Rytm powinien stać na usługach wyłaniającego się zdania i następujących po nim zdań. Ma różnymi akcentami wynosić pewne słowa nad inne; jest dźwigiem słów. Ma różnymi pauzami oddzielać słowo od słowa, zdanie od zdania, zdania od zdań; jest dzielidłem wierszy. Inaczej niż w rytmie sylabowym, gdzie akcenty i pauzy wynikają mechanicznie z obranego schematu. **(„Tędy").**

Sztuka przestała być uprzywilejowanym rozpylaczem haseł (...) Sztuka służy społeczeństwu także inaczej (...) Artysta pracuje, aby pracującym dać odpoczynek po pracy (...) Sztuka służy społeczeństwu także formą swych dzieł (...) nadaje kształt psychice zbiorowej i kształtuje historię jej czynów (...) Artysta, który nie dba o formę swych dzieł, psuje obyczaje społeczne (...) Nowe formy artystyczne są antytoksynami gnuśności społecznej. **(„Zwrotnica" nr 7).**

Dobra literatura socjalistyczna potwierdza politykę socjalistyczną nie przez to, że ją powtarza, lecz przez to, że ją uzasadnia, a uzasadnia ją własnymi wynikami, do których dochodzi odrębnością swych spojrzeń (...) Właśnie ta odrębność spojrzeń czyni pisarzy potrzebnymi w ruchu robotniczym. **(„Tędy").**

Dzieło może nie być tworzone dla robotnika, może nawet nie być dlań zrozumiałe, a jednak może wspierać cel robotniczy. Gdy obraz życia, zawarty w dziele literackim, prowadzi do wniosków, potwierdzających wnioski socjalizmu, dzieło takie staje się sprzymierzeńcem walczącej masy robotniczej właśnie dlatego, że nie zwraca się do niej. **(„Tędy").**

„RZECZ" kontrowersyjna

Jan Lewandowski

PUBLICYSTYKĘ historyczną Aleksandra Bocheńskiego cechuje, obok walorów literackich, przede wszystkim żywotność podejmowanej problematyki i kontrowersyjność ujęcia. Przeszłość jest dla niego kluczem do zrozumienia współczesności. Szczególnie wyraźnie występuje to w jego ostatniej książce*, traktującej o *psychice narodu polskiego*, czyli o typowej *postawie Polaków wobec losów własnego kraju, wobec rozwoju techniki i gospodarki światowej w ostatnich wiekach*. Dodajmy, że idzie tutaj głównie o postawę Polaka-inteligenta i że tak pojmowana psychika narodu jest dla autora ważnym elementem potencjału gospodarczego kraju, elementem, który w istotny sposób może przyspieszyć lub opóźnić rozwój gospodarczy, a tym samym decydować o pozycji zajmowanej przez Polskę i Polaków we współczesnym świecie.

Bocheński sygnalizuje przede wszystkim te strony postawy współczesnego Polaka wobec swego kraju, w których widzi jedno ze źródeł obecnych trudności gospodarczych Polski — brak dycypliny, gospodarności, kult cwaniactwa i wreszcie pobłażliwość czy obojętność wobec wielu codziennych negatywnych zjawisk życia gospodarczego.

Źródeł takiej postawy szuka Bocheński w przeszłości Polski, poczynając od epoki saskiej a kończąc na czasach nam współczesnych. Zresztą zastrzega się, iż przedstawia *raczej krytyczny rejestr zagadnień niż szczegółowe ich opracowanie*. Niemniej nawet w takim ujęciu pewne sądy, lub ich uzasadnienia, mogą budzić poważne wątpliwości.

Pierwszy wzorzec Polaka nowoczesnego zrodził się u schyłku czasów saskich, jego prekursorem był Stanisław Konarski. Wzorzec ten rozwinął się w pełni w epoce Oświecenia, epoce, która przyniosła Polsce wyraźny rozwój życia gospodarczego, kulturalnego i poczucia narodowego, z jednoczesną likwidacją niezależnego państwa. Oświeceniowy ideał inteligenta-Polaka stawiał równie wysoko walkę zbrojną w obronie kraju jak i działalność gospodarczą i naukową.

Epokę porozbiorową scharakteryzował Bocheński jak tę, w której wytworzyły się dwie przeciwstawne postawy życiowe Polaków, dwie różne odpowiedzi na najważniejsze wówczas pytanie: jak ocalić, wobec upadku państwa, naród? Jak utrzymać, mimo granic zaborów, więź narodową?

Działacze polskiego Oświecenia: Kołłątaj, Staszic, na czoło wysuwali program swojej epoki — racjonalizm, nauki ścisłe, działalność gospodarczą. Współcześni im, wychowankowie Oświecenia: Kościuszko, Wybicki, Dąbrowski — na plan pierwszy stawiali walkę zbrojną o odzyskanie niepodległości. Oba programy, obie drogi walki o Polskę przewijały się przez cały okres porozbiorowy.

Wśród reprezentantów postawy oświeceniowo-pozytywistycznej wymienia Bocheński Stanisława Augusta, Ksawerego Druckiego-Lubeckiego, Aleksandra Wielopolskiego i Romana Dmowskiego. W drugiej grupie, niepodległościowo-romantycznej, znaleźli się m. in. Kościuszko, książę Józef Poniatowski, Mickiewicz, Traugutt, Sienkiewicz i Piłsudski.

Sympatie autora leżą wyraźnie po stronie oświeceniowo-pozytywistycznej. Jego argumenty są następujące: postawa ta uczyła Polaków realizmu politycznego, wdrażała do solidnej codziennej pracy na rzecz swego kraju, uczyła gospodarności, dyscypliny, szacunku dla pracy, a więc kształtowała wszystkie cechy pożądane w dobie dzisiejszej, kiedy o losach kraju, o jego pozycji w świecie decyduje potencjał gospodarczy.

Romantyzm wprawdzie uczył bezgranicznego poświęcenia dla swego kraju, ale szerzył anarchizm, pogardę dla działalności gospodarczej, a co gorsza — niweczył wszystkie wysiłki oświeceniowców i pozytywistów. *Oświecenie Poniatowskich pogrzebał Kościuszko i Legiony, wysuwając na plan pierwszy kult walki orężnej, nie zaś gospodarczej ani naukowej. Staszica i Lubeckiego zniszczył Adam Mickiewicz i cała wielka fala romantyzmu, nakazująca być „rozumnym szałem", cierpieć i deklamować, patrzeć raczej w serce niż w „mędrca szkiełko i oko". Pozytywistów, jak Kronenberg, Szczepanowski i Dmowski, przewróciła i zniszczyła jedna jedyna książka, co prawda mistrzowsko napisana, „Trylogia" Henryka Sienkiewicza...*

Nawoływał przy tym romantyzm do bezsensownej, zdaniem Bocheńskiego, walki przeciwko trzem zaborom, bezsensownej, gdyż nieporozumieniem jest sąd, *że walki powstańcze dzięki jakiemuś tajemniczemu mechanizmowi dały potem odrodzenie niepodległego państwa*. Tylko sojusz z jednym z zaborców, twierdzi Bocheński, dawał Polakom szansę odbudowy własnej państwowości. *To właśnie było przewodnią linią polityki najpierw Stanisława Augusta, potem Lubeckiego, a na koniec Romana Dmowskiego, już u progu XX wieku.*

Szczegółowa polemika z przedstawionymi tutaj poglądami zajęłaby zbyt wiele miejsca. Ograniczę się więc do odpowiedzi na dwa zasadnicze pytania:

1. Czy rzeczywiście sojusz z jednym z zaborców stwarzał większe szanse odzyskania niepodległości niż walki powstańcze przeciw zaborcom, podejmowane przez nurt niepodległościowy?

2. W jakiej mierze każdy z tych dwu nurtów niósł za sobą postęp społeczny, a więc przyspieszał procesy społeczno-gospodarcze na ziemiach polskich? Dla Bocheńskiego jest to naczelne kryterium oceny obu nurtów i obu postaw i nie sposób się z nim pod tym względem nie zgodzić.

1. Próby odbudowy państwowości polskiej w oparciu o jednego z zaborców (Rosję) były podejmowane już na początku XIX wieku przez Adama Czartoryskiego i już wtedy zakończyły się niepowodzeniem, porażką polityczną i osobistą ich inicjatora, podobnie jak niepowodzeniem zakończyły się plany Wielopolskiego czy Dmowskiego. Dlaczego? Dlatego, że odbudowa Polski oznaczała dla każdego z zaborców utratę, wcześniej czy później, zdobyczy rozbiorowych i ożywienie dążeń niepodległościowych innych narodów uciskanych przez Rosję czy Austrię. Obietnice Aleksandra I, przytaczane kilkakrotnie, były klasycznym przykładem sprytnej gry politycznej, obliczonej na odciągnięcie Polaków od Napoleona, potencjalnego czy aktualnego przeciwnika Rosji, i na neutralizację Polaków z zaboru rosyjskiego. Atut polski służył niejednokrotnie jednemu z zaborców do szachowania pozostałych uczestników traktatów rozbiorowych, ale w momencie realnego niebezpieczeństwa utraty ziem polskich (powstania) zaborcy bez trudu znajdowali wspólny język. Ruch niepodległościowy, oprócz swego prawego skrzydła (Czartoryski), liczącego na interwencję mocarstw zachodnich w sprawie polskiej, w walce przeciw zaborcom stawiał przede wszystkim na własne siły narodu, ale także na pomoc sprzymierzeńców — ludów Europy uciskanych przez obce i własne rządy, przez cały system reakcji, na którego czele stali zaborcy Polski, złączeni węzłem Świętego Przymierza. Wiek XIX przyniósł własną państwowość i zjednoczenie narodowe Grekom, Włochom, Niemcom i niektórym narodom bałkańskim, ale nie Polsce. A więc rachuby na wyzwolenie w oparciu o sojusz z ludami Europy zawiodły? Walka „Za Waszą i Naszą wolność" nie przyniosła Polsce upragnionej wolności? Chyba jednak przyniosła, bo odbudowa Polski w roku 1918 była możliwa nie dzięki sojuszowi Polaków z jednym z zaborców, ale dzięki rewolucji narodów carskiej Rosji, cesarskich Niemiec i cesarsko-królewskich Austro-Węgier. Rewolucji, która doprowadziła do klęski wojennej i upadku wszystkich trzech grabarzy Polski.

2. Działalność gospodarcza takich ludzi jak Staszic czy Lubecki niewątpliwie przyspieszyła rozwój kapitalizmu w Królestwie Polskim. Działalność taka nie była możliwa bez podporządkowania się zaborcy. Czy można jej odmówić miana działalności patriotycznej? Nie, leżała bowiem z całą pewnością w interesie Polski. Ale czy działalność taka była możliwa na dłuższą metę w granicach państw zaborczych, przy braku własnej, niezależnej państwowości? Austria zahamowała skutecznie rozwój gospodarczy Galicji, zbliżoną politykę gospodarczą wobec Wielkopolski prowadziły Prusy, a Rosja z chwilą rozwoju, w drugiej połowie XIX wieku, przemysłu na ziemiach rdzennie rosyjskich, stwarza coraz to większe trudności przemysłowi Królestwa Polskiego. Spójrzmy szerzej na stronę społeczną działalności Lubeckiego, a zwłaszcza Wielopolskiego. Zmierzała ona do ratowania własności szlacheckiej, z niezbędne reformy przestawienia gospodarki folwarcznej na kapitalistyczny sposób produkcji miały się dokonać kosztem chłopów i miały zachować nadal dominujący wpływ dworu na gospodarkę wsi. Nurt powstańczy głosił, począwszy od lat po powstaniu listopadowym — uwłaszczenie chłopów przekazanie mu całej uprawianej przez niego ziemi na własność. Reforma społeczna miała zapoczątkować walkę o niepodległość. Program ten wcielano w życie w powstaniu krakowskim i w powstaniu styczniowym. Hasło nadania chłopom całej posiadanej przez nich dotychczas ziemi musiał zrealizować walczący z powstaniem styczniowym rząd carski, jeśli bowiem chciał odciągnąć chłopa od powstania, to musiał ofiarować mu co najmniej tyle ile rząd narodowy. Zryw powstańczy przyspieszył więc uwłaszczenie chłopów w Królestwie Polskim, spowodował też, że otrzymali oni ziemię na znacznie korzystniejszych warunkach niż wynikało to z reformy Wielopolskiego czy projektów szlachty skupionej wokół Andrzeja Zamoyskiego. Chłopi Królestwa otrzymali też ziemię na znacznie korzystniejszych warunkach niż chłopi rosyjscy w roku 1861. Że obydwa te momenty przyspieszały rozwój gospodarczy Królestwa, tego specjalnie uzasadniać nie trzeba.

Swobodny rozwój gospodarczy ziem polskich w XIX wieku, przy braku własnej, niezależnej państwowości, nie był możliwy. Współpraca z jednym z zaborców także nie stwarzała warunków dla pełnego rozwoju gospodarki na ziemiach polskich, a pod względem społecznym miała wyraźnie zachowawczy charakter. Hasło oparcia się na „swoim" zaborcy, realizowane najpełniej w zaborze austriackim (stańczycy) i podejmowane w Królestwie Polskim (endecja), prowadziło do głoszenia trójlojalizmu, deklaracji w rodzaju „przy Tobie Najjaśniejszy Panie stoimy i stać chcemy" i miało swoim wyznawcom zapewnić zachowanie istniejącego porządku społecznego. Propagowane przez Bocheńskiego pozytywne cechy psychiki polskiej — gospodarność, dyscyplina, oszczędność — ukształtowały się w Wielkopolsce właśnie w walce z naporem niemieckim, w walce, która z konfrontacji zbrojnych w końcu XVIII w. i pierwszej połowie XIX w. (powstania 1794, 1806 i 1848 roku) w latach 1848—1918 przeniosła się na płaszczyznę gospodarczą.

Ruch niepodległościowy, mimo ogromnych ofiar, przyczyniał się także w ogromnej mierze do przyspieszenia przemian społeczno-gospodarczych na ziemiach polskich, a cel jaki sobie bezpośrednio stawiał — niepodległe państwo polskie — był warunkiem sine qua non wszechstronnego rozwoju narodu, w tym także rozwoju gospodarczego. I dlatego postęp gospodarczy na ziemiach polskich w XIX wieku jest zasługą nie tylko działaczy gospodarczych, ale także uczestników walk zbrojnych z zaborcami.

Przedstawione tutaj refleksje dotyczą tylko niektórych spraw z obszernego i bardzo aktualnego „rejestru zagadnień", podjętych przez Bocheńskiego, rejestru, który sięga aż do czasów dzisiejszych i w którym spraw równie dyskusyjnych jest znacznie więcej. Ale to jest w równej mierze wada co i zaleta tej bardzo interesującej i aktualnej publicystyki historycznej, włączającej się do szerokiej dyskusji o naszej współczesności.

* Aleksander Bocheński, „Rzecz o psychice narodu polskiego", Warszawa 1971, PIW, seria „Polemiki", s. 128.

Na Roztocze jedź z namiotem!

Dokończenie ze str. 1

wanie krajobrazowe". Warto więc wybrać się na Roztocze, albowiem: „Rzeki przecinające strefę krawędziową Roztocza płyną wąskimi dolinami, głęboko wciętymi w podłoże, w których odsłania się wapień i piaskowiec. W miejscach, gdzie skała jest bardziej odporna, wytworzyły się progi, przez które woda potoków przelewa się, tworząc malownicze wodospady, zwane przez miejscową ludność „szumami". Pod względem roślinnym Roztocze stanowi odrębną krainę, dla której typowe są lasy bukowe i bukowo-jodłowe. Istnieje projekt połączenia istniejących rezerwatów w Zwierzyniecki Park Narodowy". Gdy zaś kogoś interesuje fauna, to proszę bardzo — żyją tu tak rzadko spotykane ssaki jak: *„Nocek, mroczek browiaczek, mopek, wydra, nurka, kuna leśna, żołędnica, popielica, nornik bury i północny, suseł perełkowy..."*

Tyle mniej więcej dowiaduje się przeciętny turysta z tekstu na odwrotnej stronie mapy turystycznej — „Roztocze Środkowe", wydanej w 1968 r. Zamieszczono tam również „Informator turystyczny" dający pewien zasób wiadomości o bardziej atrakcyjnych miejscowościach regionu, ich historii, punktach usługowych (restauracje, noclegi, poczta, ośrodki zdrowia) oraz wymieniający sześć szlaków turystycznych wytyczonych przez PTTK.

Wystarcza to od biedy, żeby się zainteresować Roztoczem i nie zgubić w terenie, natomiast nie daje prawie żadnych możliwości zapoznania się z jednym z najpiękniejszych regionów Polski. W dodatku mapa jest trudno dostępna w sprzedaży i — ze względu na to, że została wydana trzy lata temu — wiadomości zawarte w „Informatorze" są bardzo często błędne.

Co ma zatem począć turysta planujący letnią wędrówkę po Roztoczu? Dla większości turystów indywidualnych odpowiedź jest prosta: zdać się na łaskę Opatrzności. Jeżeli los się do niego uśmiechnie — znajdzie w antykwariacie lub w bibliotece wydawnictwa z lat pięćdziesiątych — przewodnik „Roztocze Lubelskie" Marii Bońkowiczowej i pracę K. i T. Wilgatów oraz H. Gawreckiego „Województwo lubelskie". Od kilkunastu lat nie wydano, nie wznowiono nawet przewodnika po Roztoczu, nie istnieje nawet popularny informator o tym regionie.

W o wiele lepszej sytuacji są uczestnicy wycieczek i rajdów. Korzystają z wiedzy przewodników, wiedzy zdobywanej zapewne na zasadzie przekazów ustnych.

O ile jednak brak wiadomości o okolicy, przez którą wędrujemy, możemy sobie jeszcze powetować kontemplowaniem piękna krajobrazu, to jesteśmy już zupełnie bezradni chcąc zaplanować marszrutę uwzględniającą na przykład noclegi. Jak się rzekło, „Informator turystyczny" dołączony do mapy jest przestarzały i niekompletny. Na przykład na mapie zaznaczono, że w Szczebrzeszynie znajduje się hotel miejski, ale nie podano, że hotel ów dysponuje... dziesięcioma (!) miejscami. Podobnie rzecz ma się z Tomaszowem Lubelskim. Wiele tzw. schronisk młodzieżowych, organizowanych w miesiącach wakacyjnych w wiejskich szkołach, dzisiaj istnieje już tylko na papierze i na odwrót: istnieją i działają takie, jakich w „Informatorze" nie wymieniono.

W wojewódzkim biurze „it" (informacji turystycznej) w Lublinie uprzejme i miłe panie informują, że... właściwie niewiele im na temat bazy noclegowej na Roztoczu wiadomo. Ktoś z boku dodaje, że najlepiej wybrać się tam z własnym namiotem. Moje interlokutorki radzą zdać się na informację zawartą w dodatku do mapy turystycznej, czyli koło się zamyka. Przepraszam: sięgają jeszcze do dwóch publikacji uzupełniających: „Informatora Polskiego Towarzystwa Schronisk Młodzieżowych" oraz informatora zatytułowanego „Wieś letniskowa". Obie książeczki uwzględniają obszar całego kraju. Dowiadujemy się z nich że: w całym województwie lubelskim działa 40 schronisk młodzieżowych, z czego na terenie Roztocza aż... 7 (z tego 4 w większych miastach i osadach); co się zaś tyczy owych „wsi letniskowych", to znaczy wsi, w których istnieje możliwość przenocowania u gospodarzy — jest ich na terenie Roztocza słownie: trzy. „it" nie może jednak podać żadnych bliższych szczegółów, zresztą trudno mieć o to pretensję: informator stwierdza wyraźnie, że „informacji udzielają POSTiW-y w odpowiednich powiatach". Dodajmy, że nakłady obydwu książeczek (27 tys. i 10 tys.) są już dawno wyczerpane. Dodajmy, że schroniska młodzieżowe są czynne tylko w dwóch miesiącach wakacyjnych i z zasady przepełnione wycieczkami i wędrownymi obozami szkolnymi. Prosty stąd wniosek, że dla turysty indywidualnego nie ma żadnej, lub prawie żadnej nadziei na znalezienie tam noclegu.

Fot. Z. Zugaj

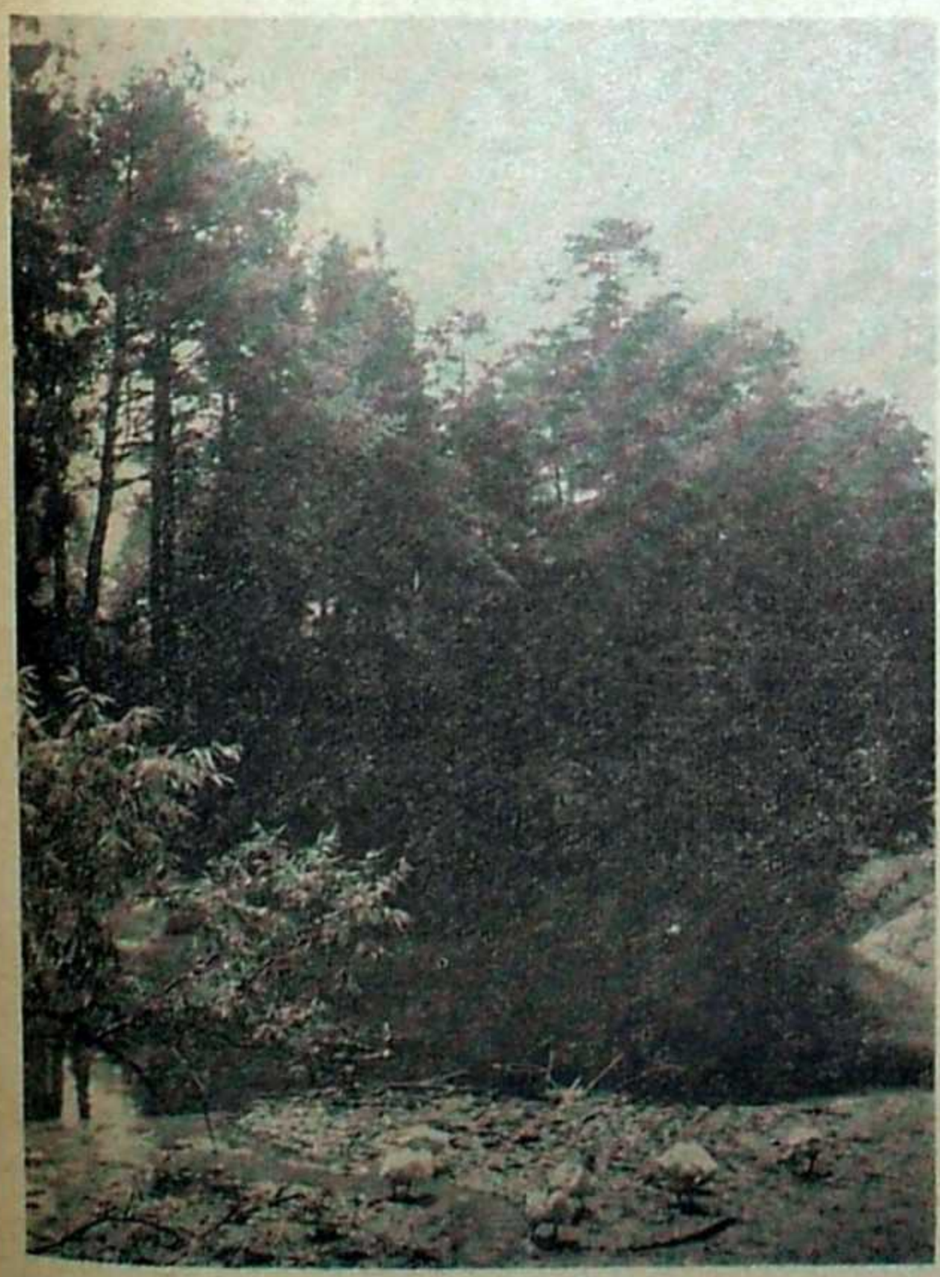

Fot. M. Targoński (CAF)

Tyle o turystycznej „bazie uzupełniającej", która miała zapewne za zadanie odciążyć placówki noclegowe PTTK i POSTiW, głównych turystycznych gospodarzy Roztocza. Niestety, jeszcze gorzej przedstawia się sprawa z samymi „gospodarzami".

Roztocze Lubelskie to trzy powiaty: biłgorajski, tomaszowski i zamojski. Jest więc w pewnym sensie rozbite jeśli chodzi o prowadzenie na jego terenie planowej gospodarki turystycznej. Wprawdzie w ubiegłym roku powstało Międzyoddziałowe Biuro Obsługi Ruchu Turystycznego (MBORT) z siedzibą w Zamościu, zrzeszające powiatowe oddziały PTTK: biłgorajski, hrubieszowski, krasnostawski i zamojski, ale obejmujący swym zasięgiem znaczną część Roztocza oddział tomaszowski nie przystąpił jak dotąd do tej „federacji". Niemniej jednak w zamojskim biurze MBORT-u można się zorientować dość dokładnie jak wygląda sytuacja noclegowa na całym interesującym nas terenie.

W samym Zamościu, jednej z „pereł Lubelszczyzny", mieście o ogromnych tradycjach turystycznych, przez cały rok przeżywającym najazd dziesiątków tysięcy turystów, opiewanym szeroko w folderach i przewodnikach, stanowiącym jedną z głównych baz wypadowych na Roztocze, sytuacja noclegowa przedstawia się fatalnie. Do niedawna jedyną właściwie bazę dla turystów stanowiły: Dom Wycieczkowy PTTK dysponujący 69 miejscami oraz hotel miejski, mogący zapewnić nocleg 44 osobom. Pomijam schroniska szkolne z powodów jakie wymieniłem powyżej. W ostatnich tygodniach oddano do użytku elegancki, nowoczesny hotel „Renesans", wybudowany przez miasto. Notabene przerażeniem napawa ta jakby na ironię nadana nazwa: hotel umiejscowiono na Starym Mieście, gdzie jego granitowo-aluminiowa elewacja beztrosko kłóci się ze szlachetną patyną wieków, w jaką obrosły renesansowe kamieniczki. Ale niech tam. Co się stało to się nie odstanie. Otóż faktem niby to niezaprzeczalnym jest, że Zamościowi przybyły 174 miejsca noclegowe. A więc problem noclegów turystycznych w znacznej mierze rozwiązano? Otóż nie. Przede wszystkim przybyło tylko 130 miejsc, albowiem dotychczasowy hotel miejski przy ul. Hanki Sawickiej przeznaczono na hotel robotniczy. Poza tym „Renesans" dysponuje: 2 apartamentami, 24 pokojami jednoosobowymi, 60 pokojami dwuosobowymi i aż 8... trzyosobowymi. Przy wysokim standardzie, wysokie ceny: miejsce w pokoju jednoosobowym — powyżej 90 zł, w dwuosobowym — około 70 zł. To nie są ceny na kieszeń przeciętnego turysty i tylko nieliczni spośród nich zdecydują się na nocleg w „Renesansie". Hotel będzie zapewniał doskonałe warunki zagranicznym turystom, posiadaczom delegacji służbowych i... uczestnikom różnych kurso-konferencji, które z pewnością zaczną być teraz organizowane w Zamościu. Masowy ruch turystyczny po prostu stracił 44 miejsca.

Cała baza noclegowa zamojskiego MBORT-u na Roztoczu (wyłączając Zamość) to 50 łóżek w stacji turystycznej PTTK w Zwierzyńcu i 14 w Józefowie Biłgorajskim. Ową petetekowską bazę uzupełnia jeszcze tomaszowska stacja turystyczna w Suścu, dysponująca 24 miejscami. Razem — nie licząc Zamościa — PTTK na Roztoczu ma 88 łóżek. Stacje turystyczne mieszczą się w domach prywatnych, w pokoikach od ośmiu łóżek wzwyż, ale są schludne i choć niezbyt wygodne, to w każdym razie bardzo tanie. Na takie miejsca liczy indywidualny turysta, ale dla niego zazwyczaj ich nie ma. Zostały zarezerwowane dla wycieczek zbiorowych i obozów wędrownych.

Drugim głównym „właścicielem" i dysponentem miejsc noclegowych na Roztoczu są POSTiW-y. POSTiW zamojski dysponuje kwaterami w domach prywatnych w Zwierzyńcu. Czterdzieści kilka miejsc. Ale zarezerwowano je dla „wczasowiczów" a nie przygodnych turystów. Pokoje wynajmuje się na tydzień, na dwa tygodnie lub na miesiąc. Ażeby taki pokój wynająć, należy pojechać do Zamościa, wpłacić odpowiednią kwotę i otrzymać „skierowanie" do gospodarza. „Wczasowicz" stołuje się na własną rękę. „Wczasowicz" wynajmuje pokój „w ciemno", bo przecież obejrzeć go może dopiero po wynajęciu. W tymże zamojskim POSTiW-ie poinformowano mnie, że dawniej prowadzono jeszcze podobne „wczasy" w Krasnobrodzie (mapa podaje jakoby była tam jakowaś stacja turystyczna oraz schronisko młodzieżowe, o czym znowu nie informuje „Informator PTSM"), ale zrezygnowano z nich na korzyść Spółdzielni „Gromada". W zamojskiej „Gromadzie" znowu co innego: „odziedziczyli" wprawdzie teren po POSTiW-ie, ale wycofali się z interesu. Miejscowość atrakcyjna wprawdzie, ale — brak wody. Oni — jeżeli organizują wycieczki — to korzystają głównie z bazy PTTK. Sami posiadają „wieś letniskową" w Suścu, dysponującą 4 kwaterami w domach prywatnych. Łącznie — 13 łóżek. Organizują w Suścu wczasy dwutygodniowe, z pełnym utrzymaniem. Znowu nic dla indywidualnego turysty. Dla wycieczek i obozów wędrownych ta „baza' również nie wchodzi w rachubę. Natomiast „Gromada" chętnie by przejęła dla swoich wycieczkowiczów hotel „Staromiejski" w Zamościu. Ale nie przejmie. Został on wszak przeznaczony na hotel robotniczy.

Powiatowy Ośrodek Wychowania Fizycznego w Tomaszowie Lubelskim dysponuje na swoim terenie dwoma obiektami turystyczno-wypoczynkowymi: w Łaszczówce i w Suścu. Ośrodek campingowy w Łaszczówce to trzy drewniane i dwa murowane domki w lasku nad stawem, dwa kilometry od Tomaszowa. Jest jeszcze pawilon gastronomiczny. „Pojemność" campingu — 20 osób. Brak drogi dojazdowej, brak tablic orientacyjnych (jak zresztą wszędzie na Roztoczu) jak i którędy się tam dostać. Drugi „obiekt" to 6 bardzo wygodnych, 4—5 osobowych domków campingowych w Suścu. Opłaty wnosi się i skierowania otrzymuje w Tomaszowie. Oczywiście skierowania na dłuższy pobyt.

POSTiW w Biłgoraju może się pochwalić pięknym ośrodkiem turystyczno-wypoczynkowym w Harasiukach. Dużym nakładem finansowym zbudowano tu 24 murowane domki-pawilony. Nie żałowano wydatków na szafy i tapczaniki „na wysoki połysk", na piękną pościel, na wodę bieżącą w każdym pawilonie. Szkoda tylko, że przy tym komforcie zapomniano o osobnym pawiloniku, w którym znalazłby się choć jeden prysznic. Poza tym jednak ośrodek jest doskonale zorganizowany. Leży w pięknej okolicy, nad Tanwią, można stąd robić wypady do Puszczy Solskiej. Przyjmuje również indywidualnych turystów. Mało ich jednak z dwóch przyczyn: po pierwsze — Harasiuki leżą trochę na uboczu głównych szlaków turystycznych Roztocza, po drugie — ze względu na wygodne warunki mieszkalne i stosunkowo niskie ceny (3-osobowy domek kosztuje 75 zł dziennie) już od połowy czerwca do końca sierpnia jest całkowicie zapełniony „długoterminowymi" wczasowiczami. Sława Harasiuków rozniosła się szeroko po Polsce, toteż planuje się poważną rozbudowę ośrodka z 95 obecnie, do 200 miejsc.

Niestety, nie istnieje róża bez kolców. Miał Biłgoraj jeszcze jeden ośrodek wypoczynkowo-turystyczny, również z prawdziwego zdarzenia, w Józefowie Biłgorajskim. Składało się nań 16 domków campingowych (także dla jednodniowych turystów), dobrze wyposażony pawilon gastronomiczny, pawilon z natryskami i ubikacjami oraz pole namiotowe.. Po dwóch latach eksploatacji, w roku bieżącym, sprzedano ów jedyny tego rodzaju obiekt w centrum Roztocza — Zakładowi Doświadczalnemu Instytutu Maszyn Matematycznych w Warszawie. Nabywca płacze ze szczęścia, że udało mu się dokonać tej transakcji. Być może zadowolone są również odnośne władze biłgorajskie. Pozbyły się „bubla": jak mi mówili nabywcy, w ciągu dwóch lat eksploatacji urządzenia campingu uległy potężnym zniszczeniom. A ruch turystyczny został zubożony o ponad trzydzieści miejsc noclegowych.

Wszędzie w POSTiW-ach informowano mnie o polach namiotowych przygotowanych na przyjęcie turystów. Interesowały mnie głównie te w „głębokim terenie". Podczas kilkudniowej podróży przez Roztocze udało nam się przypadkiem wraz z kierowcą zlokalizować i odnaleźć kilka takich pól. Kilka! Z jednym poszło łatwo, bo powiedziano nam, że znajduje się dokładnie na trzynastym kilometrze szosy biegnącej z Zamościa do Tomaszowa Lubelskiego, po prawej stronie. W poszukiwaniach wielką pomocą służył licznik kilometrowy redakcyjnej „Warszawy". Wyniesione doświadczenia spożytkujemy w przyszłości w zabawach w Tropiciela Śladów i w Ostatniego Mohikanina. Wytropione pola namiotowe miały jeszcze ten plus, że pozwalają na zdobycie dwóch dodatkowych zawodów: budowniczego studni oraz budowniczego latryny. Takich bowiem obiektów przy zakładaniu pól namiotowych nie przewidziano.

• •

Rozpocząwszy powyższy artykuł od spraw informacji turystycznej na Roztoczu, wróćmy do niej jeszcze na zakończenie. PTTK nosi się z zamiarem wydania publikacji: „Szlaki turystyczne Roztocza". Tych szlaków jest sześć: „partyzancki", „centralny", „krawędziowy", „południowy", szlak „szumów" i szlak „zielony". Jak dotąd, został opracowany przez zamojski PTTK i złożony w krakowskim WAG-u szlak „zielony": Znajdują się tam również wiadomości o zaopatrzeniu, noclegach, punktach gastronomicznych rozsianych wzdłuż tego szlaku. Wydawnictwo ukaże się jednak najwcześniej w pierwszym kwartale przyszłego roku. A kiedy zostaną wydane publikacje o następnych szlakach? Dziwne, że nic się nie słyszy chociażby o przeredagowaniu i wydaniu owych starych przewodników, wzbogaconych o aktualne informatory. Nawiasem mówiąc, z owymi przeróbkami nie byłoby wiele kłopotów. W ostatnich latach baza noclegowa na Roztoczu raczej się kurczy niż rośnie. Toteż najlepiej by było wymienić jak najwięcej wypożyczalni sprzętu turystycznego i zakończyć informator hasłem: „Nie wybieraj się na Roztocze bez namiotu!".

Mirosław Derecki

Kamena str. 5

Zdzisław Morawski

Proporcje

Oto stół wdowy
Blizna na fornierze jest po męża cięciu
– ma prawie trzy lata –
Wdowa ma serce lat dwadzieścia pięć

Oto wdowy nakrycie
Ten kubek szczerbaty
Widelec
I nóż
Są ciągle po mężu
Jeszcze są po mężu

Po mężu nazwisko
Łóżko jest po mężu
Po nim są wieczory i samotne dni

Po nim usta suche
Po nim łono wystygłe
Po nim ból jałowy jak piasek w klepsydrze

A usta chcą mówić
Żal ma już proporcje
Ból pragnie rozgłosu

Gorzów Wlkp.

Krzysztof Kurzątkowski: „Kompozycja", 1971

Fot. Z. Zugaf

Marek Obarski

Wsie wilków

Nadpływają wyspy piszczałek
nadchodzą lasy mgieł

kurki wodne
obchodzą grzmot liści

perkozy
obchodzą piorun kwiatu

jakie wsie wilków
nadpływają
pod mchem śniegu

kraty gęsi
zapalone w dali
i smardze płomieni
w piórach zwierząt

wydra obchodzi gwiazdę
ojciec obchodzi las

Poznań

Kazimierz Nowosielski

Monolog dla ojca

tyle jest ze mnie
ile się oszukam nie mnie zostawić
uładzone wnętrze pewność po sobie
tak jak się mówi że uczciwy człowiek

jemioła czasu ręce mi porasta
cięższe są coraz choć z nadzieją sieją
i jeszcze wierzą źrenicami miasta
idę niepewny i w nocy zawieję

biegnę przez cienie i przez zaspy światła
oślepłe w sobie chowając na zastaw
jak sprawiedliwość ta kołem się toczy
powieszonemu jest jak zbytek oczu

tyle jest ze mnie krzyk się krechą kładzie
jak krwista bruzda pod jutrzejszy zasiew
tyle jest ze mnie i takie jest teraz
nam którym palce uwięzły w siekierach

Gdańsk

Ryszard Milczewski-Bruno

* * *

Ja do pani będę szył
W błotach jako ostrożeń
Albo jak pani woli marek
Szerokolistny – wyniośle – –
A szyć to pani wie jak?
Czym się da – ale zawsze
I wszędzie i na wszystkich
Wysokościach – błędnych – –
Będę szył i nici przeciągał
Od pięty po głowę – malowaną
Aby panią wpajęczyć
W wyobraźnię smolną
Albo też w samego diabła
Lubię gdy kobiecie
Wyrastają kopyta i rogi

Grudziądz

Powrót Katajewa

Wacław Maciejewski

SĄ autorzy, którzy niemal z każdą książką rozpoczynają na nowo swą biografię twórczą. Do nich należy również Walentin Katajew, urodzony w Odesse 28 stycznia 1897 roku, wywodzący się z tej plejady pisarzy radzieckich, którzy tworzyli nową literaturę socjalistyczną. Bogata i złożona biografia literacka W. Katajewa, sięgająca początków lat dwudziestych, ostatnio została wzbogacona o utwory świadczące o niesłabnej sile talentu i wyobraźni tego wybitnego prozaika radzieckiego. Są to: „Święta studnia", „Trawa zapomnienia" i „Klocek".

Pierwsza z nich przynosi ogromną fascynację życia. Apoteoza wartości życia w jego powszednich odruchach i przejawach, odkrywanie jakby zapomnianego i nie na miarę epoki, codziennego piękna otaczającego świata — dominuje w obrazach i epizodach powieści. Słowa *życie jest piękne i zadziwiające*, wypowiedziane z trybuny poetyckiej Majakowskiego, najpełniej wyrażają ideę „Świętej studni". Walka ze śmiercią, podjęta przez narratora z głębokiej ufności do życia, jest swoistą obroną jego zwyczajnego, ludzkiego kształtu, obroną miłości. Z gruntu optymistyczna filozofia życia, prezentowana przez bohatera, zaostrza dramatyczny charakter narracji, przekazującej w swej głównej warstwie konflikt sił dobra i zła z właściwym dla Katajewa wyczuciem współczesności.

Klimat obsesyjnego wręcz zagrożenia narasta od momentu symbolicznego spotkania bohatera z oficerami amerykańskimi, którzy w jego wyobraźni stają się nosicielami złowrogiego instynktu niszczenia, iluzorycznej, ahumanitarnej siły i potęgi. Konfrontacja dwóch światów, kontrastowo odmiennych świadomości, rozbudzone dążenie narratora do poznania „prawdziwej Ameryki", zrozumienia duszy jej narodu, łączy się z poszukiwaniem pierwszej miłości. Zmienia się wówczas emocjonalna tonacja Katajewowskiej powieści. Zaczyna w niej dominować smutek płynący z doznawanego uczucia samotności. Tradycyjnie realistyczna maniera splata się z elementami groteski i satyry z pogranicza sarkastycznej ironii. Zreifikowany, odczłowieczony, wypełniony automatyzmem i techniczną doskonałością pejzaż miasta — molocha urasta do rozmiarów apokaliptycznej wizji.

Jeden z krytyków polskich zauważył kiedyś, że zasadniczym problemem literatury XX stulecia jest problem zniszczenia Itaki. Swoistą aktualizację tego mitu prezentuje druga powieść W. Katajewa — „Trawa zapomnienia". Ale pisarz transponując ten mit, odwołuje się do dziejów ojczystych, reaktywizuje go w charakterystycznej dla literatury radzieckiej problematyce „artysta i rewolucja", posługuje się w ogromnej części materiałem autobiograficznym.

Ośrodkiem swobodnej narracji opartej na tym materiale okazują się tak znaczące osobowości, jak Bunin i Majakowski. Nieprzypadkowe wydaje się być to literackie „wskrzeszenie" wybitnych talentów w prozie W. Katajewa, którego artystyczna wyobraźnia, filozoficzna i moralna refleksja kształtowały się pod wpływem nie tylko ich twórczości, lecz także kontaktów osobistych, z których zrodziła się przyjaźń i długotrwała pamięć o niej. *Od nich obu uczyłem się widzieć świat — od Bunina i Majakowskiego... Ale świat był to różny* — wyznaje w powieści autor. Stąd tak jaskrawe przeciwstawienie obu osobowości organicznie wynikają-

...„Ziemia Lubelska", jeden z największych polskich statków. Przy okazji „Dni Morza" piszemy o związkach naszego województwa z morzem i gospodarką morską. Bardzo rzadko natomiast o Wiśle...
Fot. Uklejewski (CAF)

Wisły legendy

„MARCHLEWSKI" został zbudowany w ostatnich latach ubiegłego wieku. Potężna jednostka, 80 miejsc w kabinach pasażerskich i 12 w kabinach dla załogi; do tego można było ustawić 80 łóżek klasy turystycznej na pokładzie krytym dachem i ścianami z brezentu. „Marchlewski" był bocznokołowcem. To znaczy w środku, na obu burtach, miał łopaty napędowe. Mógł wyruszać na rejsy wielodniowe, bo stara maszyna parowa pracowała cicho, nie budziła w nocy pasażerów. Na rejsy jednodniowe brał na pokład 360 osób.

Dziś transport pasażerski na wodach śródlądowych został wyparty przez kolej i samochody. W krótkich rejsach spacerowych bardziej opłacalne są statki rzeczne z silnikami spalinowymi. Marchlewskiego" więc wycofano z żeglug liniowej i wynajęto budowniczym elektrowni w Świerżach Górnych pod Kozienicami. Przez pięć dni w tygodniu był promem, woził robotników z jednego brzegu na drugi, przez pozostałe dwa woził wycieczki do Puław, Kazimierza i Sandomierza. Taka wycieczka stanowiła niezapomniane przeżycie. Sugerowałem wówczas na łamach „Kameny" całkowite wykorzystanie tego statku na pływający dom wczasowy. Wczasy na Wiśle były przez wiele lat bardzo popularne, ale zaczęto je stopniowo likwidować, mimo że wciąż było więcej reflektantów niż miejsc. Maszyna na „Marchlewskim" była w bardzo dobrym stanie, mogła pracować jeszcze wiele lat.

Pisałem tak — i nic z tego nie wyszło. „Marchlewski" oddany został na złom. Szalę przeważyły wyższe niż na motorowcach koszta utrzymania, choć wiadomo, że motorowców z kabinami sypialnymi dla pasażerów nie buduje się, gdyż silniki są zbyt hałaśliwe, a w dodatku na niewielkich jednostkach muszą sąsiadować bezpośrednio z kabinami. Poza tym motorowce ze śrubą z tyłu wymagają większego zanurzenia od bocznokołowców, natomiast rzadziej od nich schodzą o własnych siłach z mielizn.

Zamiera więc pełnodobowa żegluga pasażerska na „Wiśle". Od dwóch lat nie ma rejsów z Kazimierza do Warszawy i z powrotem. „Moniuszko", prawie bliźniak „Marchlewskiego", przemianowany został na „Izabellę" i postawiony na cumach jako hotel na wodzie. A przecież nadal znalazłoby się dostatecznie wielu chętnych do spędzenia na Wiśle nie kilku godzin, a kilku czy kilkunastu dni urlopu. Jeśli już zdecydowano się ostatecznie wycofać „Marchlewskiego", czy nie należało wyciągnąć go na ląd i zakonserwować, aby i nasi potomkowie mogli zobaczyć statek, który przez lat kilkadziesiąt spełniał rolę podstawowego środka komunikacyjnego dla mieszkańców dorzecza Wisły? W wielu krajach takie zabytki kultury materialnej są troskliwie konserwowane i utrzymywane w ruchu. Korzystanie z nich to coś więcej niż przejażdżka — to także nauka, przeżycie. Czy my będziemy oglądać bocznokołowce tylko na zagranicznych filmach? Czy taki statek, wyciągnięty na brzeg i postawiony na podmurówce, ale z maszyną, urządzeniami nawigacyjnymi itd., nie stanowiłby dodatkowej atrakcji turystycznej dla którejś nadwiślańskiej miejscowości?

— „Marchlewskiego" już nie ma — mówią mi wodniacy w Puławach. — Wielka szkoda, że dopuszczono do jego likwidacji. A teraz czeka nas druga podobna strata: na złom ma iść „Wawel", najstarszy polski statek rzeczny, a zapewne w ogóle najstarsza jednostka pływająca pod biało-czerwoną banderą. Już wymontowano wyposażenie.

Wiek tego statku nie jest znany. Wiadomo jednak, że pływał już w roku 1887 — i ten rok wpisano mu do metryki. „Wawel" jest holownikiem, przystosowanym do celów inspekcyjnych, a także do przewozu pasażerów i towarów. Zbudowano go w stoczni rzecznej w Elblągu.

„Wawel" początkowo był własnością armatorów mieszkających w Krakowie i pływał na górnej Wiśle. Tuż przed I wojną kursował na środkowej Wiśle. Pod koniec wojny został podziurawiony pociskami z ciężkiej broni maszynowej i zatonął w Puławach. Potem wydobyto go, stał się własnością Marynarki Wojennej, pływał w dolnym biegu Wisły. W roku 1928 został przydzielony Rejonowi Dróg Wodnych w Puławach; przeszedł wtedy remont kapitalny i otrzymał nowy kocioł, służący mu do dziś. Natomiast maszyna ma prawie sto lat, choć wciąż jest zadziwiająco sprawna. W roku 1944 Niemcy zabrali statek do Warszawy, a po wybuchu powstania do Płocka, gdzie został uszkodzony. Wyremontowano go w roku 1945. Potem remontowany był jeszcze dwukrotnie, w 1950 i 1955 roku. Pływał do końca 1970 roku jako własność Okręgowego Zarządu Wodnego w Puławach. Obecnie stoi na cumach w basenie portowym OZW. Rzeczoznawcy ocenili, iż koszt takiego nowego statku wyniósłby 4 200 tys. złotych, natomiast całkowity remont obecnego 2 200 tys. Jednakże remontu nie będzie z uwagi na przestrzałość rozwiązań technicznych. Nie opłaca się.

Ja tu o „Wawelu", gdy tymczasem nawet „Batory" został sprzedany na złom firmie z Hongkongu. Sentyment i tradycje się liczą, lecz muszą ustąpić względom ekonomicznym — powie ktoś. Być może, te ostatnie nie przemawiają jednak za kasacją „Wawelu". Koszt demontażu i pocięcia go na złom będzie wyższy od wartości złomu. No i straci się zabytkową jednostkę.

Okręgowy Zarząd Wodny nie jest wszakże powołany do konserwowania wycofanych statków. Pan Marian Kędzierski z Działu Technicznego OZW pokazuje mi teczkę z kopiami listów do Muzeum Techniki w Warszawie i odpowiedziami. Szło o pogłębiarkę „Żeran". Oddawano ją na złom. W kilkudziesięcioletniej maszynie żeliwne koła wyposażone były w zęby z drzewa grabowego. Muzeum przejawiało chęć wzięcia tych kół. Wymontowano je więc, położono w magazynie, czekano aż muzeum zabierze je — nie doczekano się. Z tego samego powodu poszła na złom maszyna parowa — z inspekcyjnego statku „Pułaski", w której cylindry ustawione były pionowo. Przetopione zostały łodzie ciężarowe liczące sobie po ponad 50 lat.

„Wawelu" żałują w Puławach wszyscy, a najbardziej 79-letni dziś pan Tadeusz Śliwiński, który pływał na nim od roku 1928 aż do czasu przejścia na emeryturę. Pan Śliwiński to chodząca kronika środkowej Wisły. Puła-

Kamena str. 6

ce z odmiennej percepcji świata, jakie zamknęła w sobie ich twórczość. Mimo ideologicznego przeciwieństwa, odmienności talentu, wyobraźni i predyspozycji twórczych, różnice w stosunku do Rosji i rewolucji — losy Bunina i Majakowskiego kryją w sobie tragiczną zbieżność. Katajew mobilizuje cały swój wysiłek twórczy, by dotrzeć do źródeł.

Tragedia Bunina — w interpretacji autora „Trawy zapomnienia" — zyskuje podwójne wymiary. Bunin, wyrażający postawę wewnętrznej niezależności politycznej i społecznej, żyjący ideą starej Rusi, nie przyjął Rewolucji, bał się jej. *Myślę, że ten strach przed rewolucją był największą tragedią Bunina...* Lecz można sądzić, że Bunin przeżywał równocześnie drugą tragedię, nie mniej istotną dla niego, wynikającą z goryczy, że pozostaje nieznanym, że nie zalicza się do „rządców dusz", jakimi byli modni przed rewolucją poeci, których twórczość negował ze względów artystycznych i ideowych. Bunin, samotny i niezależny, rozżalony na współczesne mu gusty i literaturę, opanowany by' romantyczną ideą sławy. Dramat Bunina dopełnił się we Francji, gdzie emigrował w imię *tak zwanej wolności i tak zwanej niezależności, do których dążył przez całe życie.* Mimo ogromnej miłości, jaką nacechowany jest stosunek Katajewa do Bunina, powieść zawiera w sobie jednoznaczną ocenę postawy Bunina. Jednakże tragedia jego przynosi Katajewowi cierpienie: *...chciało mi się płakać z rozpaczy na myśl o tej strasznej tragedii, którą przeżył Bunin, o tej nie do naprawienia pomyłce, którą popełnił opuszczając na zawsze ojczyznę.*

Majakowski był również poetą *tragicznym* — przy całej swojej pasji życia, uwielbienia i apoteozy *rewolucji radosnej i śmiałej,* niezależny i samotny. Jednak tragedia Majakowskiego wydaje się być dla Katajewa tragedią nieodwzajemnionej, a może tylko nieokazanej miłości. *Posłuchajcie mnie* — wspomina Babel ustami lirycznego bohatera powieści — *zrozumcie: to wina nas wszystkich. Wszystkich, którzyśmy go naprawdę kochali. Trzeba go było objąć, może pocałować, powiedzieć, jak go kochamy. Zwyczajnie, po ludzku okazać mu trochę serca. A myśmy tego nie robili...* Jest to więc tragedia poety — idealisty, namiętnie oddanego miłości spraw wielkich — idei rewolucji. *Łódka miłości strzaskana o byt.* Oto Katajewowska transpozycja mitu Itaki, gdzie tragedia jest udziałem tylko artysty — pisarza i poety.

„Trawa zapomnienia" zawiera jeszcze jeden wątek: marzenie Katajewa o powieści, której nie napisał, podejmującej frontalnie przewijające się tu jakby między wierszami opowiadania „o dziewczynie ze szkoły partyjnej". Pisarz kilkakrotnie powraca do swojej bohaterki, w której życie wpisała się rewolucja i pierwsze lata budowy władzy radzieckiej. I właśnie losy „dziewczynki z willi Kowalewskiego" pomagają zrozumieć, dlaczego w świadomości Katajewa istnieją obok siebie Bunin i Majakowski: *Bunin także uczył tego* (Bunin — W. M.): *„Niech pan opisze wróbla. Niech pan opisze dziewczynkę. Ale co z tego wyszło? Opisałem dziewczynkę, a ona okazała się dziewczyną ze szkoły partyjnej, bohaterką Rewolucji. Rewolucji zaś uczył mnie Majakowski.*

Dlaczego powieści tej nie zrealizował, dlaczego pozostała tak długo żywym marzeniem pisarza? W sposobie tworzenia Katajewa, w nieustannym przeżywaniu całego swojego dorobku, w upartym powracaniu sytuacji i postaci — jest coś przejmująco tragicznego. Dźwigać na sobie całe swoje życie, całą treść wewnętrzną poezji własnej i swych współczesnych — jest to trud nad siły. A przecież „o dziewczynie ze szkoły partyjnej" trzeba było pisać zupełnie inaczej, jak nikt dotąd i, jak powiedziałby Osip Mandelsztam, „do pęknięcia aorty..." — wyznaje Katajew w powieści. Ale wydaje się, że to nie tylko bezsilność wobec tematu zdecydowała o niezrealizowaniu zamierzenia. Można sądzić, że istniały i inne względy. Otóż model wielkiej romantyki, ani tym bardziej tzw. „literatura produkcyjna", nie okazały się wystarczające — w przekonaniu Katajewa — do tej problematyki: *Ileż razy chwytałem za pióro, aby... napisać powieść o dziewczynie ze szkoły partyjnej. Być może był to jedyny prawdziwy wątek i diament, który należało oszlifować, nie żałując czasu i sił, i zmienić go w lśniący brylant. Ale za każdym razem czułem swoją bezsilność, temat przewyższał mnie wielokrotnie i nie można go było opracować byle jak, w dawnym stylu, który zupełnie się doń nie nadawał.*

Przy całej złożoności problematyki, bogactwie rozmyślań o historii wielkiej i małej, samookreślenia stosunku pisarza do tradycji literackiej, „Trawa zapomnienia" jest również powieścią o tworzeniu, powstawaniu dzieła literackiego. Świadczy o tym autoświadomość jej autora, drążącego swoją refleksją pamięć własną i cudzą, *ową niezmierzoną, wieczną studnię czasu i przestrzeni,* by wydobyć z niej *tajemnicę poezji.*

Zasadniczym kierunkiem ewolucji prozy W. Katajewa jest dążenie do wypracowania modelu powieści — kanwy, której immanentną cechą staje się wyraźne rozluźnienie kompozycyjne. Wynika to — w pewnym sensie — jakby z zachwiania się wiary pisarza w tradycyjnie pojętą moc nośną słowa, w istniejące konwencje literackie, które okazują się zbyt szczupłe i martwe, w których zasięgu nie mieści się interpretacja nieustannie zmieniającego się świata. Zdezintegrowany świat, atakujący *milionami miliardów sygnałów* świadomość człowieka, *niewolnika i zwycięzcy* materii, może być dostępny jego intelektowi tylko wycinkowo. Dlatego w ostatniej powieści W. Katajewa „Klocek" obraz oscyluje w kierunku pozornie nie uszeregowanej przez czas myśli i refleksji, bieżących odpowiedzi i uogólnień *sygnałów rzeczywistości.* Ogrom i płynność doznanych przeżyć i zdobytych obserwacji nie pozwala pisarzowi przetworzyć ich w tradycyjnie zamknięty i jednolity obraz, w przekonaniu Katajewa nieadekwatny wobec rzeczywistości nawet w momencie powstawania. Miejsce ukształtowanego obrazu zaczyna wypełniać zamierzony schemat sytuacyjny, luźny epizod, niekiedy atematyczny wobec następnego, wsparty schematem postaci, uczuć ludzkich, wewnętrznych przeżyć, myślenia i postaw. Świat zdaje się być zupełnie na nowo odkrytym dzięki oryginalnej metaforyce. Obiektyw narratora to zbliża się, to oddala od głównego tematu, opis przechodzi w monolog wewnętrzny, aforystyczne „wybijające się" zdania przypominają podpisy czy tytuły poszczególnych epizodów, ich idee, pojawia się ironiczna stylizacja w kierunku określonej poetyki, przeobraża się i sam narrator.

Co osiąga autor przez te zabiegi formalne, do złudzenia przypominające technikę filmową? Gdzie kończy się czysty eksperyment (widoczny również i w poprzednich powieściach), a kiedy te poszukiwania zaczynają być funkcjonalne i uzasadnione? Z pewnością są one wykorzystane w celu uruchomienia przestrzeni i czasu, kompozycyjnie organizujących prozę W. Katajewa. Po wtóre — służą do określenia autonomicznych środków wyrazu dla kategorii czasu, przestrzeni, istoty pamięci ludzkiej. Odzwierciedlają również (szczególnie kombinacje w narracji) kręgi czy stopnie poznania, służą wyznaczaniu granicy świadomości człowieka. Temu podporządkowana jest także „otwartość" i „elastyczność" wątku głównego (*historia dziewczynki i chłopca... nie ma początku, a tym bardziej końca...* — podkreśla autor).

Po cyklu fotografii lubelskiego teatru studenckiego „Gong-2" Andrzej Polakowski, jeden z najciekawszych twórców Lublina, skierował swój obiektyw w stronę Teatru Lalki i Aktora im. Andersena. W rezultacie otrzymaliśmy zestaw sugestywnych portretów, z których dwa przedstawiamy. Są to portrety szczególne, albowiem w metaforycznym skrócie zbliżają do widza ten specyficzny, poetycki świat teatralny, o fikcji dwupoziomowej, w którym nie istnieje granica między rekwizytem a aktorem, ruch dłoni aktorskiej kształtuje charaktery i reakcje małych bohaterów z drewna, galganków czy plastiku. Kolorowane portrety autorstwa Polakowskiego złożyły się na wystawę, czynną w czasie VI Spotkania Teatrów Lalek Polski Wschodniej w Lublinie. Obecnie, w ramach stałej ekspozycji, znajdują się w Teatrze Andersena.

i realia

Romuald Wiśniewski

wianin, od dzieciństwa przebywający nad rzeką, karierę w żegludze rozpoczął w roku 1913. Był marynarzem na „Wandzie", pasażerskim statku kursującym z Warszawy do Sandomierza i zawijającym po drodze do Kozienic, Dęblina, Puław, Kazimierza, Janowca, Solca, Józefowa, Annopola i Zawichostu. Potem pływał z Płocka do Sandomierza na „Płoczaninie". Zmobilizowany w czasie I wojny światowej, znalazł się pan Śliwiński aż na Syberii. Po powrocie, w 1919 roku znów ruszył na wodę. Pływał na „Kościuszce", „Pułaskim" i „Wandzie", by wreszcie w 1928 roku zostać sternikiem na „Wawelu", na którym doszedł do rangi kapitana.

Siedzimy na pokładzie zamarłego statku. Słucham opowiadania starego kapitana. Ożywa legenda Wisły. Pamięć o słynnych wilkach rzecznych. Żydowskich kupcach wożących tymi statkami towary. Cwaniakach, którzy szwarcowali się na gapę. Ekstrawaganckich ziemianach, którzy wykupywali bilety na dany rejs i organizowali biesiady dla swego towarzystwa. I o tłumie zwykłych pasażerów z nadwiślańskich rejonów, oddalonych od kolei, dla których podróż wodą była najtańsza i najwygodniejsza. Od czasu do czasu mój rozmówca nie może sobie czegoś przypomnieć, wtedy mówi: „Szkoda, że nie żyje Józek Walkiewicz, maszynista, był ze mną na „Wawelu" od początku, później niż ja poszedł na emeryturę, a zmarł w roku 1969". Albo: „Niech pan spyta o to Stefka Tysputa, był marynarzem na „Wawelu", dziś już też na emeryturze, ma 84 lata, ale pamięć dobrą, do ubiegłego roku pracował jeszcze na pół etatu".

Kapitan Śliwiński też trzyma się krzepko — i też ma jeszcze pół etatu. Po wiadomości z ostatniego okresu statku odsyła mnie do swego zięcia, kpt. Antoniego Nowakowskiego, ostatniego dowódcy jednostki.

Tu w OZW takich rodzinnych powiązań jest wiele. Jeszcze jeden emrytowany kapitan, Kazimierz Dobrowolski, ma w służbie dwóch synów: Antoni jest elektrykiem na pogłębiarce, Stanisław — majster przy regulacji rzeki. Oto wodniacka rodzina Komorków: Jan — szyper na barce, Konstanty — bagrowniczy na pogłębiarce, Marian — sternik na barce, Stanisław — cieśla. Na jednej z pogłębiarek głównym mechanikiem jest Piotr Wilantowicz, jego pomocnikiem — brat Edmund; są synami Bronisława, nieżyjącego już nadzorcy dróg wodnych.

Nie pieniądze są głównym motywem przywiązania tych ludzi do pracy na wodzie. Kapitan, główny mechanik lub sternik zarabiają nieźle, lecz nie wszyscy przecież dochodzą do tych stopni. Praca nie należy do lekkich. Warunki wprawdzie poprawiają się z roku na rok, wygodniejsze są kabiny, instaluje się urządzenia sanitarne, załogi otrzymują radia, nawet telewizory, lecz o posiłki każdy musi dbać sam.

Praca na rzece oprócz innych kwalifikacji wymaga także siły. Na całej żeglownej długości rzeki rozmieszczone są co 5 kilometrów posterunki. Co drugi dzień, a przy niskiej wodzie codziennie, strażnik wodny musi przepłynąć te 5 km łódką pod prąd, odpychając się drągiem od dna, z powrotem 5 km z prądem, dokonać sondowania, a potem bojami, tykami, beczkami i kijami wyznaczyć główny nurt i szlak żeglowny. W niedługim czasie strażnicy dostaną motory przyczepne do łodzi. Będzie lżej, co nie znaczy, że łatwo.

Dla strażnika nie ma przeszkód w rodzaju wichury, ulewy, śniegu, gradu, lub spiekoty. Musi wykonać swoje zadanie. 27 lat tak pływał pan Antoni Pietras. Ile zrobił kilometrów? Nie liczył. W latach okupacji zdarzało mu się w ciągu dnia wyciągnąć z wody po kilka ciał ludzkich, które płynęły z prądem, z głową roztrzaskaną kulą. Potem dowiadywał się, że gdzieś tam w górze była masowa egzekucja, lub że jacyś uciekli przez rzekę i Niemcy z brzegu zastrzelili ich. Dociągał zwłoki bosakiem na plażę. Kiedyś wójt zrugał go: „panie, gmina zrujnuje się na trumny i koszta pogrzebu; przepuszczaj pan, niech i inni wyłapują i chowają". Wyławiał dalej, dla strażnika to nie tylko obowiązek prawny, lecz i moralny. W roku 1952 został nadzorcą odcinka wodnego w Kazimierzu Dolnym. 25 kilometrów lewego brzegu i 25 km prawego podlegało teraz jego pieczy i miał obowiązek przejechać oba odcinki rowerem przynajmniej raz w tygodniu. Dziś jest na rencie, ma 72 lata i pracuje na pół etatu. I już dla własnej przyjemności prawie codziennie pływa łodzią. I codziennie, to reguła, robi rano 3—4 kilometrowy spacer brzegiem w jedną stronę, a po południu w drugą. Jakże nie popatrzeć na Wisłę? Do niedawna nawet pływał wpław; nie tyle co dawniej, gdy mógł rzekę 6 razy w tę i z powrotem przebyć, ale zawsze sporo. Pływać umie zdecydowana większość wodniaków. Przy składaniu podania o pracę jako ważny argument załącza się kartę pływacką.

Magia wielkiej rzeki działa i na młodych. Wojciech Wydra ma lat 28, a nadzorcą w Kazimierzu jest od roku 1966. Pochodzi z Puław, najpierw był marynarzem na barce, na której szyprował brat jego Józef — obecnie kapitan pogłębiarki „Wkra". Wojciech uczył się zaocznie w technikum ogrodniczym; ojciec ma kawałek ziemi pod miastem, rodzina planowała założenie gospodarstwo ogrodniczego. Przyzwyczaił się jednak do wody. Gdy dostał dyplom technika, awansowano go na nadzorcę. Podległy mu personel krzywił się, że szef jest taki młody. Tylko początkowo. Szef sprawy żeglugi i związanej z nią pracy przy konserwacji koryta rzecznego znał nieźle, a nauka w technikum ogrodniczym też okazała się przydatna: nadzorstwo ma bowiem 600 hektarów plantacji wikliny, oprócz strażników wodnych zatrudnia 6 strażników kępnych i robotników sezonowych. Roboty jest do licha i trochę a, tu jeszcze kontrola za kontrolą, wiadomo, do Kazimierza każdy chętnie przyjedzie. W rejonie jego nadzoru leżą i same Puławy, a więc siedziba władzy zwierzchniej. Ma to i dobre strony, bo zawsze łatwiej starać się o potrzebne fundusze i materiały. Siedziba nadzorcówki jest ładna, wygodna, są w niej mieszkania służbowe, znajduje się w połowie całego odcinka, wszędzie można dojechać.

Zafascynowani Bałtykiem, o Wiśle piszemy dziś i mówimy chyba mniej niż powinniśmy. Po morzach i oceanach pływa dziesięciotysięcznik „Lublin". Inne jednostki naszej floty noszą nazwę „Rejowiec", „Zamość", „Nałęczów". Niedawno opuściła stocznię „Ziemia Lubelska", jeden z największych polskich statków. Przy okazji „Dni Morza" piszemy o związkach naszego województwa z morzem i gospodarką morską. Bardzo rzadko natomiast o Wiśle, łączącej przecież wielkie połacie kraju z Bałtykiem. Ale legenda tej rzeki nie przybladła. Nowych kolorów dodają jej ludzie. Porozmawiajcie z wodniakami. Można ich słuchać i słuchać. Niech kapitan Tadeusz Śliwiński opowie, jak przed wojną jeszcze, w czasie wielkiej powodzi, ratując mieszkańców wsi Zastów, zalanej po strzechy, płynęli „Wawelem" przez środek wsi, ratując jej mieszkańców i ich dobytek. Nie mogli zbyt blisko podpływać do chałup, aby nie rozmyć ich ruchem wody poruszanej łopatami, więc musieli jeszcze przesiadać się na łodzie. Albo niech emerytowany nadzorca pan Pietras opowie, jak we wrześniu 1939 roku w jego odcinek holownik „Pawełek", dowodzony przez kapitana Mariana Śliwińskiego, dociągnął dwa galary skarbów wawelskich. Dalej nie można było płynąć. Tuż przed wkroczeniem Niemców skarby te zabrało wojsko na ciężarówki. A kogo interesują sprawy współczesne, obyczajowe, ze smaczkiem, niech pociągnie za język strażnika z Kazimierza Dolnego pana Ryszarda Załuskiego.

Wisła przestała pełnić rolę komunikacyjną. Już nie kursują nią, jak dawniej, statek za statkiem. W pełni opłacalna żegluga wymaga używania barek 500 i 1000 tonowych. Lecz Wisła, jedyna tej wielkości nie uregulowana rzeka w Europie, to wielki skarb. To woda — w naszych czasach coraz cenniejsza. Wcześniej czy później Wisła zostanie uregulowana kompleksowo, tak aby okresowe nadmiary wody, dziś grożące powodziami, były magazynowane dla różnych celów gospodarczych, w tym do picia. Przy okazji powstaną warunki do efektywnej, intensywnej żeglugi, mimo kolei i samochodu, będącej najtańszym środkiem transportu. Rejony leżące nad Wisłą uzyskają wtedy wartościowe połączenie drogą wodną z portami w Gdyni i Gdańsku. Już obecnie nowoczesna żegluga morska wiąże się ściśle z żeglugą śródlądową. Buduje się barkowce. Są to wielkie statki oceaniczne przystosowane do przewożenie barek rzecznych z towarem; w ten sposób transportuje się towary z miast położonych w głębi lądu, nad rzekami lub kanałami, do miast w głębi innego lądu, też leżących nad rzekami — unika się przez to kosztownego przeładunku z barek na statki.

Ten sposób wydaje się u nas jeszcze daleką przyszłością. Nie można wszakże zapominać, iż nad Wisłą leży szereg rozwiniętych gospodarczo ośrodków, co zapewne przyśpieszy przemiany. Królową naszych rzek interesują się też z tego względu odpowiednie agendy ONZ, traktując projekt regulacji jej, a potem sprawdzania efektów, jako wielkie doświadczenie dla podobnych prac w innych częściach świata. Wisła doczeka się też zapewne kariery jako miejsce rekreacji i sportu żeglarskiego. Ale na razie mamy rok 1971. Okręgowy Zarząd Wodny w Puławach ma pod swoją pieczą Wisłę od ujścia Sanny do ujścia Pilicy (160,8 km), a do tego jeszcze 156 km Kamiennej, 363 km Bugu (cały odcinek graniczny ze Zw. Radzieckim) i 127 km Wieprza. Przy konserwacji i regulacji tych odcinków pracuje około 1 800 osób, z czego zdecydowana większość na Wiśle. Buduje się wały, ostrogi, umacnia brzegi, wytycza i pogłębia nurt. Mimo to jest jeszcze dziko, rozlewnie, czasem groźnie, często za sucho. Ale ta malownicza, żywiołowa Wisła dożywa kresu; zastąpi ją rzeka uporządkowana, może nawet skanalizowana. Szkoda, ale to nieuchronne. Czy jednak trzeba, aby poszedł na złom każdy, nawet najstarszy statek? Czy legenda tej rzeki nie zasługuje na pewną pielęgnację?

Kamena str. 7

Moralitet zdynamizowany

Maria Bechczyc-Rudnicka

PISZĄC niedawno o VI Studenckiej Wiośnie Teatralnej w Lublinie („Kamena" nr 12), zaznaczyłam, iż na osobne omówienie zasługuje widowisko „Każdy", któremu sąd konkursowy przyznał pierwszą nagrodę zarówno za tekst, jak za wykonanie.

Otóż inscenizacja „Każdego" według scenariusza Andrzeja Rozhina, dyrektora Akademickiego Teatru UMCS „Gong 2", została zrealizowana przez autora przy współpracy scenografów Leona i Elżbiety Barańskich, a źródłem scenariusza są szesnasto- i siedemnastowieczne teksty polskie oraz stary moralitet angielski „Everyman", który w polskim brzmieniu dał właśnie widowisku tytuł: „KAŻDY".

Muszę powiedzieć, że jestem osobiście uczulona nad wyraz pozytywnie na scenariusze czerpiące tworzywo z piśmiennictwa staropolskiego. Gdy w r. 1937 opublikowałam swoją opowieść „Malerza raweńskiego owieczek dwanadzieście", opartą na tekstach z w. XIV i XV, pragnieniem moim było, by czytelnikowi udzieliło się przejęcie się sprawami językowymi, by wczuł się w mowę pradziadów i przekonał, że wyrzuciliśmy do lamusa mnóstwo szczeropolskich wyrazów, spotykanych w najstarszym piśmiennictwie bądź w gwarach ludowych. Zainteresowanie moje tekstami staropolskimi, które podówczas nosiło charakter wyłącznie literacko-filologiczny, stało się znacznie intensywniejsze obecnie, gdy od lat szeregu widzimy, jakie wyborne spektakle robią teatry nasze ze staropolskich zabytków pisemnych.

Toteż zbożnej pracy badawczej Rozhina żywo przyklasnęłam. Ale cóż ja! W skład jury szóstej lubelskiej „Wiosny" wchodził znakomity znawca piśmiennictwa staropolskiego, prof. dr Julian Lewański, który udzielił scenariuszowi „Każdego" swej kompetentnej aprobaty, co jest niemałym zaszczytem dla autora.

Rozhin poszedł w ślady Dejmka już w r. 1968 wykorzystując do monumentalnego widowiska „Dialog na Narodzenie" tekst z połowy w. XVII (spektakl przyniósł „Gongowi" nagrody na trzech festiwalach). Ale tym razem autor scenariusza zrobił wielki krok naprzód w sztuce kompozycji: sięgnąwszy po teksty różnorodnej natury w sensie znamion czasu i pochodzenia klasowego, potrafił Rozhin nadać stworzonej przez siebie strukturze harmonijną zwartość za pomocą — wygląda to niemal na paradoks — pomysłowych dysonansów.

Niewątpliwym zyskiem zastosowanego procederu było bogactwo treści widowiska, jej szeroki zasięg społeczny oraz akcenty aktualne, dające się wydobyć z niejednego zestawienia.

W tomie 1 Antologii „Dramaty staropolskie", opracowanej przez prof. Lewańskiego, znajduje się m. in. moralitet holenderskiego pisarza Piotra Diesthemiusa „Człowiek" („Homulus" — wydrukowany w r. 1541 dwukrotnie u krakowskiego drukarza Wietora). Wstęp Antologii umotywował wprowadzenie obcej sztuki tym, że jej *budowa i zawartość powtarza powszechnie znany w Europie północnej schemat. Na terenie takiej twórczości bardzo dobitnie zaznacza się przełom w renesansowym dramacie polskim.* Chodziło więc o wskazanie genezy nowego typu naszego dialogu scenicznego.

O znaczeniu tytułu owego moralitetu czytamy w ośmiowierszu Euzebiusza Kandyda co następuje:

Komedia ta nosiła niegdyś tytuł „Każdy", bo każdy człowiek lęka się iść drogą śmierci. Teraz wychodzi pod tytułem Człowiek, bo oto w niej kruche i przemijające życie człowieka jest wiernie odmalowane. Wszyscy się rozbiegają, gdy Śmierć nadchodzi, jedna Cnota pozostaje przy człowieku. Ją weź sobie za wierną towarzyszkę w swym życiu, człowieku, jeśli masz rozum, ją, która towarzyszy ci na drodze śmierci.

Przepraszam za uproszczoną, oszczędną transkrypcję.

Powyższy cytat przynosi nam podwójną korzyść: po pierwsze streścił on fabułę (dość nikłą) „komedii", po drugie — nawiązuje do „Każdego".

Rozhin posłużył się tedy wcześniejszą — średniowieczną — wersją moralitetu (udostępnioną w tłumaczeniu Stanisława Helsztyńskiego z r. 1933 przez warszawską Bibliotekę Dramatyczną Drogi).

Wydaje się, iż należy pochwalić Rozhina za tę preferencję, w przeciwieństwie bowiem do filologicznego przekładu „Człowieka", „Everyman" został przełożony wierszem obfitującym w asonanse i przypominającym naiwne wierszowanie ludowe, które nadając rzeczy emocjonalne zabarwienie prymitywu znakomicie służy ogólnym celom omawianej inscenizacji. Wybrana wersja ma jeszcze jedną niemałą zaletę: jest wolna od późniejszych naleciałości, które jej bynajmniej nie udoskonaliły.

Równolegle z dialogiem „Każdego", w odtworzeniu scenicznym nieco skrótowym, wprowadza Rozhin do widowiska obszerne partie dialogu „Nędza z Biedą z Polski idą" i „Tragedii żebraczej", dodając poczet ich osób — po pewnej redukcji — do grona person moralitetu. Nadto cytuje coś niecoś z „Satyr" Kazimierza Opalińskiego, z „Kazań sejmowych" Skargi tudzież z „Komedyi rybałtowskiej nowej" — choćby ten Chorus tak wspaniały, że aż kusi do przytoczenia przynajmniej paru jego zdań:

Przeciwne czasy dzisiejszego wieku.
Nie dacie wytchnąć w pokoju
człowieku?...
Oto Bellona krwie więcej rozlewa,
A w tym dostatków i skarbów
ubywa...
Porzućcie groty, rozbieżcie się z
zbroje,
Którąście wdziali na powinne
swoje...
Jutro nie nasze pogotowiu lata,
A po tyrańsku zażywając świata,
Jakoby nie żyć, bo w szarpanym
wieku
Nic po człowieku.

„W szarpanym wieku" — czyż to nie paradne?

I wreszcie jakże potężnie zabrzmiało w finale widowiska słynne drugie stasimon Kochanowskiego „Oprawy posłów greckich" — poetyckie przypomnienie o moralnej odpowiedzialności panującego za losy narodu: *„Wy, którzy Pospolitą Rzeczą władacie, / A ludzką sprawiedliwość w ręku trzymacie...*

Rozhin i Barańscy rozegrali widowisko zasadniczo w dwóch planach: podium służy przeważnie do akcji moralitetu, której patronuje Bóg, zasiadający wysoko na konstrukcji o kształcie szubienicy. „Bóg" niezbyt hieratyczny i znikający wkrótce ze sceny iście po angielsku. Na proscenium natomiast odbywają się niesłychanie ekspresyjne intermedia, najwidoczniej poczęte z ducha Teatru Laboratorium, który wszakci miał swoje antecedencje w praktykach kapników, pokutników, biczowników, ozdrowieńców itp.

Nadto umieszczono w głębi kapliczkę-polyptyk-karuzelę (za nią jeszcze coś ruchomego, niby skrzydła wiatraka), dokoła której wędruje wolna chwilowo od innych działań część postaci moralitetu.

I tak, jak następuje raz po raz symultaniczne narastanie oraz wyciszanie różnorodnych fal werbalnych, tak nieustannie zachodzi wzajemna penetracja działania się na wszystkich planach widowiska — wskutek ciągłego kontaktu osób moralitetu z osobami intermediów.

Tym sposobem jednostkowe, a zarazem ujęte generalnie, losy Człowieka zostały wtopione w barwne tło społeczne, a miałka filozofia religijno-moralizatorska skojarzyła się udatnie z ostrą satyrą socjalno-polityczną. Dzięki intensywnemu przenikaniu płaszczyzn i poszczególnych elementów powstała swoista interferencja — ogromne podwyższenie temperatury spektaklu.

Wspomniałam przed chwilą o osobach. Podajmy je wraz z „animatorami", którzy w pełni zasłużyli na jawność. Są to: w moralitecie — Każdy (Andrzej Mickiś), Anioł (Grażyna Kukuryka-Stefanek), Bóg (Krzysztof Wiktor), Śmierć Biała (Elżbieta Orzechowska), Śmierć Czarna (Joanna Morawska), Przyjaźń (Barbara Kaźmierczak), Krewniacy (Ewa Leziak, Barbara Kaźmierczak), Bogactwo (Elżbieta Skrętkowska), Spowiedź (Grażyna Kukuryka-Stefanek), Dobre Uczynki (Anna Kwaśniewska), Wiedza (Irena Tkacz), Piękność (Barbara Zniciak), Siła (Ewa Leziak), Świadomość (Barbara Kaźmierczak), w intermediach — Nędza (Barbara Michałowska-Roznin), Bieda (Grażyna Stelmaszyńska), Mnich (Krzysztof Wiktor), Baba (Anna Żelazna), Wójt żebraków (Krzysztof Wiktor), Dygudej (Stanisław Piwko), Żona dziada (Ewa Łabuńska), Pędziwiatr (Kazimierz Nuckowski), Chłop (Stanisław Piwko), Szatan (Joanna Morawska); poza tym nieprzebrany tłum dziadów, żebraków, bab, grajków, satyrów.

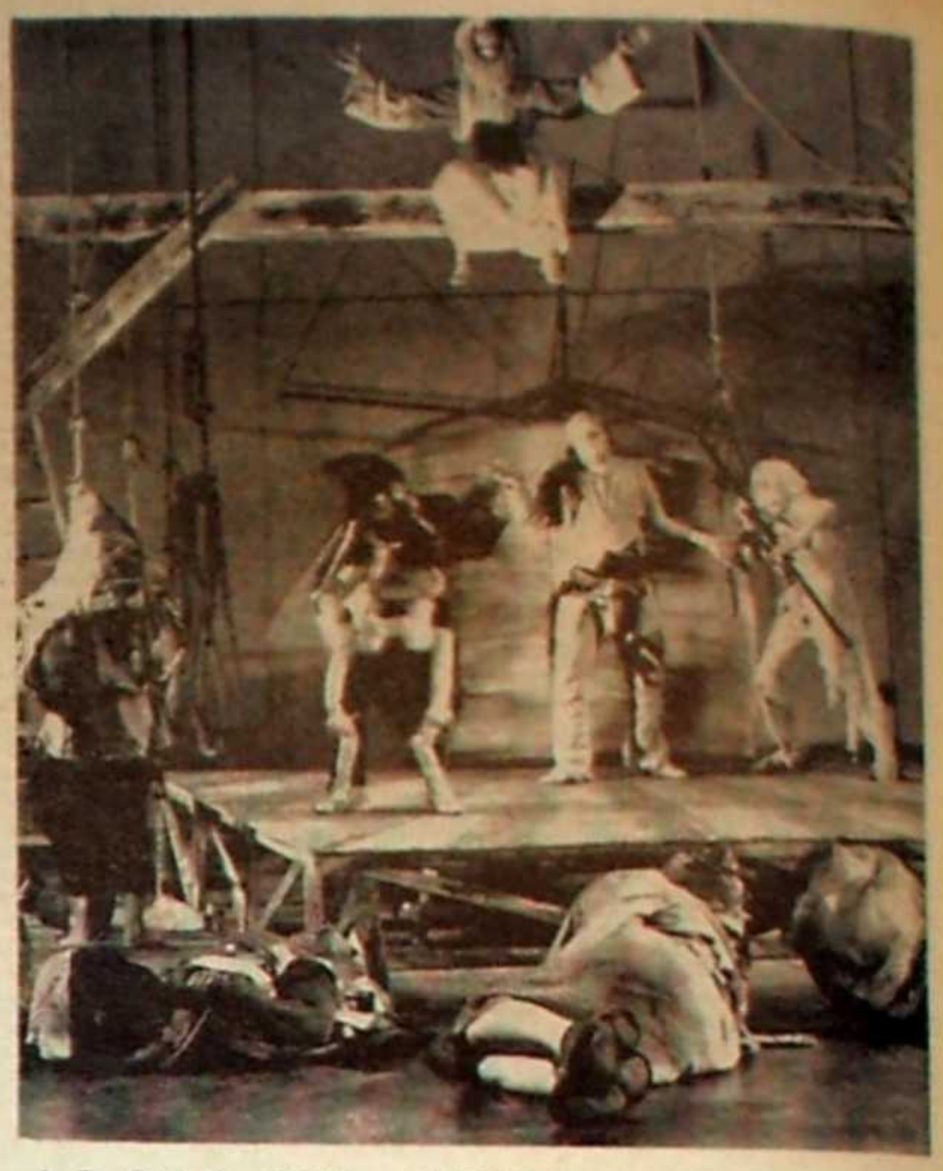

A. T. „Gong 2": „Każdy" — widowisko wg scenariusza Andrzeja Rozhina
Fot. A. Polakowski

Rozhin jest nie tylko dobrym scenarzystą i inscenizatorem, jest on r e ż y s e r e m z prawdziwego zdarzenia, o co dzisiaj niełatwo. Kolosalną gromadę studencką obsadzoną w „Każdym" potrafił przemienić w zdyscyplinowany artystycznie zespół aktorski, wykonujący bardzo sprawnie powierzone czynności sceniczne. A przecie skład studentów-amatorów związanych z „Gongiem" co rok się odnawia.

W sumie „Każdy" jest spektaklem nader atrakcyjnym: dynamicznym, barwnym (pyszne kostiumy zaprojektowali Barańscy), ze zdumiewająco dobrym różnicowaniem światła. No i te ekstatyczne pienia modlitewne w procesjach, i dzwony!

„Gong 2" wystąpił w czasie „Wiosny" z jeszcze inną prapremierą, widowiskiem „Senator lecący i dwaj donatorzy", debiutem młodego poety, Marka Żenniego. Właściwie debiutem „scenicznym", nie dramaturgicznym, bo Żenni ma już w tece kilka ciekawych sztuk, które czekają na inscenizatora z wyczuciem ciągle powstających różnych odmian awangardy teatralnej.

W swoim kształcie pisarskim „Senator" to sztuka otwarta dla swobodnej inwencji inscenizującego. Mam wrażenie, że Andrzej Rozhin z Leonem Barańskim i tu utrafili w sedno sprawy stosując bardzo gwałtowne przenikanie elementów, tym razem szczególnie natężone wizualnie i dźwiękowo. Treść jednoaktówki związana jest z zamachem na senatora Kennedy'ego. Utwór jak gdyby miał charakter plakatowo potraktowanej satyry na amerykański styl życia, lecz w gruncie rzeczy sięga chyba głębiej — do syntetycznego ogarnięcia nonsensów współczesnego świata, w którym sprawy wielkie ocierają się częstokroć o banal, podważający ich wielkość.

Inscenizatorzy operowali do nec plus ultra nakładającymi się na siebie w szalonym tempie kolorowymi projekcjami filmowymi i rwącym potokiem dźwięków z megafonu. Wszystko to miało wyraz, który wręcz oszałamiał, czyli — adekwatny żarliwości tekstu, choć zarazem niszczący słowo. Dopiero po przeczytaniu maszynopisu autorskiego znalazłam w tym dramacie coś ponad teatr faktu: istotny ładunek humanizmu i poezji, zwłaszcza w pięknym końcowym cytacie z poematu Archibalda Mac Leisha „Refleksja":

Nie będąc już pępkiem / świata, nie będąc / ofiarą poniżoną / i poniżającą, zaślepioną / krwią i błądzącą / na marginesie rzeczy- / wistości, człowiek / może stać się wreszcie / sobą...

Miejmy nadzieję, że ten debiut teatralny utoruje Żenniemu drogę i na dalsze sceny.

Chichotać z bezsilności?

Dokończenie ze str. 1

Sztuki", następnie zaś, opierając się na tym periodyku, „Życie Warszawy" w niezwykle szlachetnej w intencjach i niewątpliwie pożytecznej społecznie rubryce „Zabytkom na odsiecz", której autor wykonuje tzw. syzyfową robotę, budząc tym dużo sympatii u czytelników.

Rzeczywiście, reporterski wypad pozwolił ustalić fakty przygnębiające i po części nowe, choć wynikające ze starości: gnijący strop nad pierwszym piętrem otwiera się na strych dziurami czarnymi, jak rozpacz miłośnika starożytności, podróżującego co nieco po kraju: od strony ogrodu zapadają się toskańskie kolumny podtrzymujące rozległy taras; kolumny przedsionka poobgryzały, zdaje się, zgłodniałe bobry; brama wjazdowa zniszczona wraz z ogrodzeniem; po jednej z dwu oficyn nie pozostało śladu, jeśli pominiemy Dom Ludowy w przysiółku „Sachalin", wzniesiony z cegły rozebranego obiektu... Dziesięciohektarowy park w stylu angielskim, doprawdy piękny park krajobrazowy, zdegeneruje się lada rok całkowicie, jeżeli w ogóle pozostanie przy życiu.

Pałacyk zaliczany jest do drugiej klasy zabytków, lecz *Szlachetna architektura... a zwłaszcza wysoki poziom dekoracji sztukatorskiej wnętrz klasyfikują z pewnością rezydencję w Łabuńkach do zabytków klasy pierwszej* — stwierdza Mariusz Wituski, autor publikacji w „Biuletynie". Kilka lat temu zamojskie władze oświatowe — w pałacu mieści się szkoła podstawowa — przymierzały się do remontu obiektu, lecz wycofały się szybko z przedsięwzięcia ze względu na koszty, mimo że konserwator wojewódzki zgłosił gotowość dołożenia sporej sumy ze swojej kasy. Podobno idea remontu będzie wcielona w czyn w roku przyszłym. Ale kierownik szkoły twierdzi — chyba słusznie — że pałacowe wnętrza nie odpowiadają już potrzebom nauczania, sugeruje konieczność wzniesienia nowego obiektu. Jeśli do tego dojdzie, opuszczony pałac nieuchronnie zamieni się w ruinę, bo inne instytucje czy przedsiębiorstwa, potencjalni użytkownicy, nie zwrócą nań nawet uwagi. Na opiekuńczy gest Państwowego Funduszu Ziemi lub Prezydium GRN nie ma co liczyć. Zresztą instytucje rolnicze dbają o zabytki tylko do momentu przeprowadzki do innych, nowych pomieszczeń. Po opuszczeniu pałacu w Moroczynie (Hrubieszowskie) przez POM w Mirczu, zabytek popadł w całkowitą ruinę. Kultura, proszę państwa, musi mieć sens bezpośrednio utylitarny, prawda?!

Może i niestosowny ten ton pierwszych zdań artykułu, ale w pewnych sytuacjach, przerastających ludzką wytrzymałość, tylko ucieczka w ironię ratuje przed utraceniem jakiej takiej równowagi umysłowej. Więc coraz częściej, na widok zdewastowanych obiektów, chce się po prostu chichotać — z bezsilności.

Przyznaję przecież, że w podobny sposób zaczynam reagować także na częste ostatnio publikacje prasowe czy telewizyjne, gromiące niedowład naszej opieki konserwatorskiej — na przypadkowo ujawnionych faktach, do jakich należą np. sprawy Gardzienic i Łabuniek. Ogłoszenie przetargu w gazecie, informacja z drugiej ręki, zawalenie się zabytkowego stropu — i zaczynamy walić w publicystyczne tarabany. Aż się zmęczymy, aż — po jakimś czasie — nie natrafimy na kolejny pałacyk, pełniący funkcję latryny dla okolicznej ludności, która do zabytku ma tzw. stosunek. Zatem znów krzyk wielki podnosimy i huzia na Józia: na konserwatora wojewódzkiego („nie kocha zabytków, bezduszny urzędnik"), na użytkownika („nie ma zrozumienia dla kultury, grosza i umysłu skąpi"), na Pracownie Konserwacji Zabytków („partactwo, drożyzna, brak mocy przerobowej"), na wszystkich świętych pańskich i terenowych („wulgarnym materializmem przesiąknięci, tylko o wydajności z ha dumają")... I tak można w nieskończoność, bo zabytków architektury i budownictwa w Polsce na tysiące. A jakie są skutki tej potrzebnej w końcu, nieustępliwej walki w obronie dokumentów naszej przeszłości, walki — bez przesady — tak heroicznej, że aż miejscami groteskowej?

Powiedzmy otwarcie, że ta totalna obrona pomników kultury i historii narodowej jest jakoś nieproporcjonalna do efektów. W minionych kilkunastu latach gazety, czasopisma, radio i telewizja bodaj tysiące razy podejmowały problematykę ochrony zabytków, na ogół w formie interwencyjnej. Zdawać by się mogło, że taki nacisk opinii publicznej zapobiegnie niszczeniu pałaców, zamków, kamieniczek mieszczańskich, chałup wiejskich, parków. Tymczasem ostatni rok przyniósł prawdziwą lawinę informacji o poważnych zaniedbaniach w tej materii, ciągle dowiadujemy się, że z Kazimierzem i Zamościem źle, jeśli nie gorzej, że z jakiegoś zabytku właśnie wczoraj wydarto ostatnią futrynę, że przynajmniej dziesięć cerkiewek na Lubelszczyźnie nic już nie uratuje przed ostateczną ruiną, że park w Dołhobyczowie, pamiętający barona Rastawieckiego, autora pierwszego u nas „Słownika malarzów polskich" i współzałożyciela Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, pamiętający nieco i Chopina — mordowany jest nocnymi siekierkami, aż ha!

Nasuwa się więc dziwne pytanie: czy istnieje u nas racjonalnie pomyślany i sprawnie funkcjonujący system opieki nad zabytkami? Pytanie na pewno osobliwe w kraju, który już w latach międzywojennych zdobył się na bardzo postępową wówczas ustawę o ochronie pomników przeszłości, który aktualnie dysponuje dwiema ustawami (z lat 1960 i 1962), posiadając przy tym rozgałęzioną sieć odpowiednich instytucji badawczych i wykonawczych. Owszem, s y s t e m jest i działa.

Tylko w latach 1961—79 przeznaczono w kraju do remontu niemal 500 obiektów — na ogólną liczbę ok. 35 tysięcy zabytków architektury — co pochłonęło 1 200 000 000 zł. Mało to, czy dużo — w tej chwili nie tak ważne. Istotne natomiast, że wiele obiektów, poddanych uzdrawiającym zabiegom konserwatorsko — budowlanym przez PKZ, już teraz wymaga ponownego remontu! Niektóre w dwa lata po zakończeniu pierwszego! Na Lubelszczyźnie należą do nich m. in. kaplica zamkowa, dawna bożnica i kamieniczki bloku nr 5 w Zamościu (ratusz też kwęka od wilgoci), a w innych rejonach kraju choćby pałac w Narstowie (wrocławskie) i dwór w Bielawie — żeby wymienić z pamięci pozycje z długiego rejestru marnotrawstwa. Ale s y s t e m jest.

Wojewódzki Konserwator Zabytków w Lublinie, mgr Mieczysław Kurzątkowski, zauważył kiedyś, że stan zabytków jest funkcją możliwości finansowych, technicznych, materiałowo-wykonawczych i organizacyjnych, jakimi dysponuje konkretna struktura społeczno-ekonomiczna. To ze wszech miar racjonalne spostrzeżenie domaga się przecież uzupełnienia o jeszcze jeden, niematerialny element, który nazwijmy klimatem moralnym. Wydaje się, że nie tak nie szkodzi zabytkom, obiektom w jakimś sensie bezbronnym, bo na ogół o ma-

Kamena str. 8

ON

Marian Makarski

ZNAŁEM go tak jakby był mną, choć nie był. Twierdził, że znać go nie mogę, ponieważ on nie zna siebie, a przecież go znałem, wszystko zaczęło się od jego dzieciństwa, które było mojemu podobne, a więc Nida, nad którą rosną wikliny, i Szreniawa, rzeka płynąca przez proszowickie czarnoziemy, znad Szreniawy widać Tatry, jest to swoisty miraż niczym pustynna fatamorgana, opowiadał mi o tym, dlatego wiem, że znamy się od dzieciństwa.

Znajomość ta nie miała początku, nie pamiętam daty, kiedy on się pojawił, kiedy podszedł i powiedział do mnie, a może ja powiedziałem do niego:

— Jak się masz?

Staliśmy potem wpatrzeni w siebie, tak jak się patrzy w lustro, kiedy przyjdzie palcami rozcierać zmarszczki twarzy, jest to jednak przypuszczenie, tego nie pamiętam, on mówi:

— Skąd wiesz, czy tak nie było?

— Ale pamięć.

— Pamięć, kosz, śmietnik. Tyle w nas pamięci, ile obsesji, mistyfikacji. Pamięć na kilometrach, na prześwietlonej taśmie kilku ocalonych ujęć. Zdarzenia, chwile, chwil fragmenty, martwe obrazy bez związku, przezrocza, kalejdoskop ożywiany ciepłem wyobraźni, z życia krótki film, godzina projekcji, miraż spełnionego czasu, fatamorgana, Tatry znad Szreniawy.

Tak mówił on i to zapamiętałem, jak zapamiętałem odwrócenie głowy, kąśliwe spojrzenia na polną ścieżynę. Pierzaste chmury rozmydlały niebo, opodal mieścina, dzwon z kościelnej wieży.

Jeden dzwon a tyle kołatania, jęku, muzyki, po kartofliskach babim latem, nad łąki w dolinę rzeki, piskiem gęsi, w wierzby, jeden dzwon.

Końcem buta gryzmolił w pulchnej ziemi, jak pierwsi chrześcijanie, kiedy rysowali rybę. Dłonią przetarł oczy, rzekł:

— Jestem tylko czekaniem, na wąskotorowej stacyjce przycupnięty jak grudka ziemi czekałem.

— Ojciec nie przyjechał? — pytał kolejarz, smarknął, otarł palce o sukno spodni.

— Ojciec nie przyjechał? — pytała babina, skulona pod zajdą buraczanych liści.

— Ojciec nie przyjechał? nie przyjechał? nie przy... słupy telegraficzne, druty, wiatr, gwizd lokomotywy, okna wagonów, moje oczy, jestem tylko czekaniem na wąskotorowej stacyjce, przycupnięty jak grudka ziemi, jestem czekaniem, niespełnione czekanie trwa wiecznie.

To było wtedy, mieścina opodal, dzwon z kościelnej wieży. Potem przeskakując błotnisty rów i resztki płotu, z którego zostało trochę faszyny i kolczastego drutu, weszliśmy w ogród, który nie był już ogrodem, sterczała jeszcze stara jabłoń, przed walącym się domem. Na obwisłej powale, na resztkach gontów wybujałe chwasty, czapy zielonego mchu. Przez otwór w ścianie po wyrwanym oknie zajrzeliśmy do środka.

— Tu się urodziłem — powiedział.

Milczałem. Wiedziałem, że przyjechał tu dzieckiem — tego nie pamięta. Tu się urodziłem, w tym obcym domu — powtórzył. — Mój ojciec jak wielki mag budził się skoro świt, otwierał to okno jak biblię i ze stronic brzasku odczytywał modlitwę:

— Kawałek ziemi mieć własny i dom mieć na tym kawałku ziemi, bo jak jest dom, to jest skąd odjechać i dokąd wrócić i życie nie jest ucieczką, ale jest odejściem i powrotem.

Wiedziałem teraz że to, co mówił on, jest apoteozą owego czekania co stało się jego narodzeniem, a po latach stało się fabułą, narodzeniem symbolu. To narodzenie kolebie się w nim, tańczy jak piana w zakolu rzeki, stało się uwikłaniem, obsesją, mistyfikacją. Ten dom i to czekanie na wąskotorowej stacyjce, to czas odniesienia, rejestr pamięci, na który nakładają się już wszystkie czasy, wszystkie rejestry, niczym na wielki raster, filtr, przez który ogląda się wszystkie zdarzenia, to misterium czekania pielęgnuje w sobie, obnosi jak talizman, jak świętą krzywdę, ból, wzgardę, z którą nie sposób się uporać, której nie sposób się pozbyć. Dlaczego więc przywlókł mnie tu, w to miejsce, gdzie dom nie jest już domem, po wąskotorowej stacyjce ni śladu? Dlaczego przywraca zdarzenia, które nosi pamięcią, a których tu nie ma, jak nie ma ogrodu, bo ktoś zasiał lucernę. Ten czas czekania na wąskotorowej stacyjce był czasem jego dzieciństwa, kiedy chodził boso w cajgowych porciętach, kiedy czekał skulony jak grudka ziemi. Czas zwalonego domu, obok którego stoimy teraz, jest czasem powrotu. Ten dualizm, ta retrospekcja, to zderzenie dwóch czasów, jest świadomym niszczeniem pamięci, niszczeniem siebie, ekshibicjonizmem. Czy chciał tego? A może chciał się wyzwolić od tego domu, od tego czekania?

Niespełnione czekanie trwa wiecznie. Dlaczego więc przywlókł mnie w to miejsce, gdzie dom nie jest już domem, po wąskotorowej stacyjce ni śladu? Co stać się miało w nim, w co przeistoczyć się miało tamto czekanie? — nie wiedziałem.

Stał nieruchomy we framudze okna, jak drewniany świątek w przydrożnej kapliczce. Patrzył przez przymrużone powieki w mglisty horyzont, gdzie wierzby i pasmo łąk stykało się z niebem.

— Tylko matka mnie kocha nikt więcej, kiedy ma się matkę wszystko jest do zniesienia — powiedział głosem zciszonym, prawie szeptem, po czym poruszył się, spojrzał na ten zwalony dom i odszedł w stronę miasta opodal. Szedł pochylony z głową wtuloną w kołnierz. Nie obejrzał się, zniknął w zaroślach, w dzikich chaszczach, które tam rosły.

Usiadłem na progu opierając plecy o zmurszałe, sczerniałe od deszczu drzwi. Ktoś rzucił kamieniem. Kamień przebił zbutwiałe gonty, uderzył w obwisłą powałę, spadł z hukiem jak do studni. Wstałem. Rozglądam się, nasłuchuję, znowu uderzył kamień, po nim drugi, trzeci. Obiegłem dom dookoła, nie było nikogo, jedynie opodal skulony starowina pasł krowę, siedząc na miedzy. Podszedłem.

— Dziadku, rzucaliście kamieniem?

— Niby jak?

— No zwyczajnie, rzucaliście w ten dom?

— Panie, mnie to nie w głowie.

— Ale ktoś rzucał.

— Pewnie dzieciska, stoi ta rudera, to rzucają. A ten, co był tu z panem, to niespełna rozumu.

— Dlaczego?

— On tu, panie, całymi dniami na stacji wysiaduje, na kolejkę czeka.

— Przecież tu nie ma kolejki.

— Za Niemca ludzie szyny rozebrali na tregry, to i nie ma, ale on wyczekuje, w głowie mu pomieszało od tego czekania.

— No krasula! Puścić, to w szkodę idzie, no krasula.

Krowa szarpała łbem wyrywając łańcuch z rąk starowiny. Starzec wstał, zaparł się w nogach.

— Stój ścierwo, kalikaturo — krzyczał. Pomogłem mu. Chwyciłem łańcuch, przyciągnąłem krowę do miedzy, aż poczęła skubać trawę.

— On niespełna rozumu — kontynuował starowina, sadowiąc się na miedzy. — Trza panu wiedzieć, że powódź tu przyszła, ogród stratowała i ten jego ojciec poszedł w ten ogród stratowany, w to bajoro, w bród, stanął pośrodku jeziora, co myślał, nikt nie wie, dość że na stacji się pojawił, wsiadł do wagonu jak stał. Ślad po tym ojcu zaginął.

— Nieprawda, ten jego ojciec tu wrócił!

— Jak to wrócił? Wrócił i ja bym o tym nie wiedział?

— On tak mówił.

— On. On niespełna rozumu, to zmyśla. Raz to było, że po mieście latał — „list od ojca" — krzyczał, pustą kartką wymachiwał.

— No pokaż ten list! — nikomu nie pokazał. Nocą do kościoła się dobijał, pięściami walił, krzyczał, niespełna rozumu.

Ta noc była wołaniem, pięściami walił w kościelne wrota.

— „Zabierzcie mnie stąd, zabierzcie!!"

Wołanie, psi skowyt, stygło na kamiennej posadzce, cichło w głębokich nawach, w absydzie, w prezbiterium. Wiotki płomyk pożerała noc. Wałęsał się po tej nocy nieskończonej. Szukał ratunku, choć w tej nocy ratunku nie było, jak nie było nadziei.

— „Nocą tu wrócę, zabiorę cię stąd" — powiedział mu ojciec, dlatego chciał, by ta noc trwała wiecznie i, choć pojawił się świt i ludzie na ulicy, to on tę noc nadal miał w oczach i to walenie w kościelne wrota i tę pustą kartkę papieru.

On był artystą, o czym nie wspomniałem. Był artystą szczególnym, samorodnym płomieniem, i tylko płomieniem.

Był pisarzem, który nie napisał książki, był malarzem, który nie namalował obrazu, poetą, który nie zanotował wiersza, a przecież był każdym z osobna i jednocześnie. Ten potencjał pulsował w nim, przejawiał się zamiarem tworzenia, mówił o tym, dlatego wiem i to było prawdą o nim. Był artystą tak w sobie, że uzewnętrznianie tego było już zbyteczne i nie było to samo spalanie, ale zamiar niewyzwolony, który jest sztuką, jest artyzmem i dziełem w odmiennym wymiarze, nieokreślonym znaczeniu.

Był artystą w sobie i dla siebie, wiem o tym, ponieważ go znałem, a kiedy się jest artystą, wtedy jest się wszystkim i niczym dla siebie, dla ludzi, dla tego miasta opodal, dla świata.

Starzec oddalił się bez słowa ciągnąc krowę wzdłuż miedzy.

Wracałem przez ten ogród, który nie był ogrodem, ktoś zasiał lucernę. W zwalonym domu sterczały nagie krokwie. Miasto opodal wzniesione na wzgórzu spływało w dolinę kaskadą dachów czarnych, brązowych, popielatych. Barokowe hełmy kościelnych wież jak szklane kule górowały nad tym miastem, nad kępą drzew zrudziałych jesienią. Patrzyłem na to miasto opodal z pewnym zdziwieniem, bo on mówił, że tego miasta nie ma, jak nie ma tego ogrodu, który już nie jest ogrodem, ktoś zasiał lucernę, jak nie ma tego domu i tej stacyjki, na której czekał skulony jak grudka ziemi, a przecież sprowadził mnie tu i po co?

Szedłem przez to miasto, przez uliczki wąskie, ściśnięte ścianami domów wysuniętych aż po rynsztoki. Szedłem potykając się w wyboistej jezdni, z otwartych okien kwaśny zaduch izb, na progach stare babiny, krzesła na ulicy.

Wstąpiłem do baru, wiedziałem, że on tu będzie i nie myliłem się. Siedział oparty o bufet, nad nim zgraja pijanych. Miał tu stały kredyt. — Pan taki inny — mówiła barmanka. Siedział nieruchomy jak posąg, przed nim pusty kieliszek. Barmanka nalała bez słowa i nie odstawiając butelki, spytała:

— Po co pan tu przyjeżdża?

Nie odpowiedział. Przez chwilę wpatrywał się w bufet, jak w horyzont, kiedy staliśmy przed zwalonym domem.

— Bufet jest długi, zielony jak morze — mówił, — po morzu pływają butelki, a w każdej butelce wołanie „ratunku".

— Pan już nie pije — rzekła barmanka, odstawiając butelkę.

On przesunął kieliszek w stronę siedzącej obok dziewczyny.

— Kocham cię, słyszysz? Wypij.

Dziewczyna wychyliła jednym haustem.

— Każdej to mówisz, z którą pijesz?

— Każdej. Każdej, z którą piję i nie piję, którą kocham i nie kocham, każdej.

To nieprawda, to ironia. On kochał udręką czekania i nie mógł tej miłości wywlec z siebie, bo wywlókłby to czekanie, po którym już pustka co zżera. Zachwiał się na zydlu. Ująłem go za ramię.

— Chodź! — nie opierał się. Wyszliśmy na ulicę. Chłodne powietrze wdychał łapczywie nozdrzami, aż się zakrztusił, zachwiał. Ująłem go pod rękę.

— Zostaw — powiedział zasłaniając twarz rozwartą dłonią, — jestem trzeźwy, do bólu głowy trzeźwy.

Uszliśmy parę kroków, po czym on oparł się o sztachety płotu. Głowę przechylił do tyłu, aż utonęła w barkach. Patrzył na księżyc biały, jak wielkanocne jajka w koszyczku chmur.

— Gdzie jest prawda o nas? Co jest prawdą o nas? Osuszamy w sobie to ziarno, bo nie poczęło kiełkować. Ziarno w żarnach, ziarno dźwigające kamień, byle ruch pocznie to ziarno miażdżyć, rozpylać. Boimy się prawdy, która jest w nas, świat boi się tej prawdy. Maski, mumie, maski... Jesteśmy tylko czekaniem, niespełnione czekanie trwa wiecznie.

— To nieprawda, nieprawda!

Nie słuchał. Odbił się od płotu i poszedł w stronę wąskotorowej stacyjki.

Z baru wyszedł mężczyzna, zbliżył się.

— Po co pan tu przyjeżdża?

— Ja?

— Na stacji pan wyczekuje.

— Ja? To on!

— Jaki on, w głowie się panu pomieszało, prawdę ludzie mówią.

Odszedł, skręcił za rogiem. Echo kroków dudniło po ulicy. Księżyc jak wielkanocne jajko w koszyczku chmur.

—... ludzie tak mówią. Niech mówią! Niech mówią!! — krzyczałem ile sił.

Z baru wybiegli, stanęli kołem.

— Niespełna rozumu — rzekł ktoś.

Uniosłem ręce, chciałem się wznieść jak dym z ogniska, jak ptak. Miałem już za ciężkie buty, albo serce.

łych walorach utylitarnych, jak brak owego zdrowego klimatu moralnego wokół renowacji konkretnego obiektu. Sama idea ochrony zabytków niemal tonie w zdrowiu moralnym, wszyscy uznają jej potrzebę, doczepiają jej takie czy inne, lecz zawsze piękne racje. Zejście w praktykę wykonawczą równa się nierzadko zejściu do piekieł bylejakości, cynizmu, wielkiej niemożności. Historycy sztuki, architekci związani z zabytkami, konserwatorzy wojewódzcy czy miejscy, ludzie od lat tkwiący w wiadomej problematyce twierdzą zgodnie, że konserwacje przeprowadza się u nas na pokaz, na dziś, z okazji i przy okazji, przede wszystkim dla wykonania planu przez przedsiębiorstwo PKZ. Więc wszystkiemu winne Pracownie Konserwacji Zabytków?

Od kilkunastu lat szukamy winnych i w zależności od sytuacji i stopnia rozeznania sprawy „strzelamy": w Pracownie Konserwacji Zabytków, w takich czy innych użytkowników, w wojewódzkich konserwatorów zabytków najczęściej. W wielu wypadkach strzały są celne, czasami przynoszą dobre rezultaty, co ratuje fizylierów przed frustracją, lecz wcale nie wpływa na generalne polepszenie stanu zabytków architektury i budownictwa w Polsce; tylko na Lubelszczyźnie aż 103 obiekty nie posiadają stałych użytkowników i wymagają natychmiastowej interwencji konserwatorskiej, która przy obecnych możliwościach finansowych administracji kulturalnej może być zakończona ok. roku 2000. A nie wpływa dlatego, że zło tkwi w obowiązującym systemie ochrony zabytków, który rozprasza środki i możliwości, materialne i ludzkie, zaangażowane w doniosłą sprawę opieki nad tradycją kultury materialnej. Ten system stracił cechy racjonalności, które kiedyś, w określonej sytuacji społeczno-gospodarczej kraju, posiadał. Ten system działa nierzadko „przeciw zabytkom", że posłużę się określeniem wybitnego eksperta konserwacji. Przypatrzmy się jego strukturze organizacyjnej.

Administracja: ministerialny Zarząd Muzeów i Ochrony Zabytków (z Ośrodkiem Dokumentacji Zabytków), któremu podlega Wojewódzki Konserwator Zabytków (z Biurem Dokumentacji Zabytków).

Instytucje projektowo-wykonawcze i naukowe: PP Pracownie Konserwacji Zabytków rozczłonkowane wewnętrznie na mniejsze jednostki — konserwacji dzieł sztuki, dokumentacji naukowo-historycznej, projektowania, wykonawstwa, archeologiczną.

Obydwa piony, skupiające dosłownie armię ludzi, łączy przedmiot działania, co nasuwa przypuszczenie, że i wspólnota interesów i celów. Złudzenie, które zaczyna się rozwiewać w chwili przypomnienia, że PKZ podlegają Departamentowi Ekonomicznemu Ministerstwa Kultury i Sztuki, a nie — jakby logika kazała — Zarządowi Muzeów i Ochrony Zabytków. No tak, ale w końcu to ten sam resort, więc dogadać się można. Owszem, można, ale do czasu. PKZ bowiem, mimo że są jedynym specjalistycznym przedsiębiorstwem tego typu w Polsce, powołanym do ratowania zabytków, zostały zorganizowane na zasadach obowiązujących w najzwyklejszym przedsiębiorstwie budowlanym, które powinno odprowadzić zysk do skarbu państwa. Celem PKZ jest zatem wykonanie planów finansowych i pokrewnych, zabytki zaś są jednym ze środków prowadzących do tego celu. Tak rzecz przedstawia się w praktyce. Nie warto już mówić o tym, że będąc w istocie zwykłym przedsiębiorstwem budowlanym, PKZ ciągle cierpią na brak odpowiednich materiałów, potrzebnych w pracach konserwatorskich, że mają ograniczoną moc przerobową i ciągle nowych inżynierów rodem z budownictwa mieszkaniowego, ogólnego, a nawet z „przemysłówki", którzy w najlepszym wypadku nie mają czasu na dokładne zaznajomienie się z tak specyficzną i złożoną problematyką, jaką jest ochrona zabytkowej architektury, nierzadko skojarzonej z malarstwem ściennym.

Istnieje jeszcze Komisja Konserwatorska Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków, będąca ciałem opiniodawczym, która nie wiadomo dlaczego upodobała sobie wydawanie sprzecznych opinii, czyniąc to zresztą dość leniwie.

W rezultacie takiej struktury nie ma dziś w Polsce autorytetu konserwatorskiego, ani instytucjonalnego, ani personalnego, którego decyzje obowiązywałyby wszystkich uczestników, są natomiast tony korespondencji wyrażającej: stanowisko, brak stanowiska, zastrzeżenia, poparcia, odwołania, przekazania dalej i do kogo innego. Są też dziwne narady, jak np. ta ostatnia, w Krakowie, rozpatrująca problem podejścia do niezwykle intrygujących odkryć przy ul. Kanoniczej, na której nie było nikogo z Ministerstwa Kultury i Sztuki, nie było przedstawiciela Ośrodka Dokumentacji Zabytków choćby, tylko sami konserwatorzy wojewódzcy i pracownicy PKZ. A to przecież Ministerstwo będzie zatwierdzać ewentualną koncepcję owego podejścia.

Czas już chyba zastanowić się nad zmianą tego systemu opieki nad zabytkami, który zaprzepaszcza środki materialne, energię i zdolności ludzkie, w najlepszym zaś wypadku daleki jest od kształtu optymalnego. Ochrona zabytkowej architektury to już poważny problem społeczny i ekonomiczny, wymagający koncentracji tych wszystkich sił, którymi dysponujemy. Cóż z tego, że zamojskie Stare Miasto otrzyma w najbliższych latach w sumie 270 mln zł na dalszą renowację, jeśli nie zreformuje się podstaw organizacyjnych wykorzystania tej sumy.

Poddać zatem wypada pod publiczną dyskusję projekt — mówi się o nim tu i ówdzie nieśmiało — powołania jednego instytutu, zajmującego się całokształtem problemu zabytków w Polsce, który działałby w trzech kierunkach: administracyjnym, naukowym, projektowo-wykonawczym; działalność tego ostatniego winna wykluczyć zasadę zysku. Instytut taki, skupiający wybitne autorytety odpowiednich specjalności, byłby w stanie prowadzić określoną politykę ochrony zabytków, podejmować jednoznaczne i ostateczne decyzje, zyskać rangę swojego rodzaju grupy nacisku, co byłoby szczególnie ważne w procesie pozyskiwania użytkowników dla zabytkowych obiektów.

Ireneusz J. Kamiński

Dworek w Żyrzynie — Fot. Z. Zugaj

Kamena str. 9

Biesiada literacka

Maciej Podgórski

OSTATNIO coraz chętniej przyglądam się rozmaitym zjazdom i sesjom najmłodszych i młodych pisarzy. Widziałem na przykład IX Toruński Maj Poetycki (8—9 V 1971 r.), imprezę bogatą i znakomicie zorganizowaną, a przy tym na tle swej dotychczasowej tradycji — nietypową, jako że w części problemowej poświęconą wyłącznie osobie i twórczości Tadeusza Peipera.

„Zapytajmy się siebie, w jakim stopniu poezja i koncepcje artystyczne Peipera oddziałują na naszą literaturę, czy jest to dzieło, które powinno być nam, młodym poetom i krytykom, dziś jeszcze szczególnie bliskie, spójrzmy na poematy i marzenia autora „Tędy" naszymi oczyma, zapytajmy, ile naszych doświadczeń odnajdziemy u Wielkiego Poprzednika? A może jego dzieło należy pozostawić już tylko historykom literatury, może jest ono nam obojętne?" — oto zasadnicze kwestie, ambitnie przyświecające uczestnikom toruńskich obrad.

Nie jestem przeciwnikiem żadnych spotkań młodych pisarzy, a nawet wręcz odwrotnie, choć nie jestem też przekonany, by jakiekolwiek dyskusje zjazdowe lub prasowe mogły w czymkolwiek dopomóc młodej literaturze, zmienić ją, naprawić... Poza marginalnymi i ulotnymi przecie korzyściami towarzyskiej natury dostarczają one głównie informacji o tym, co dzieje się właśnie w młodej literaturze, jaka jest sytuacja młodego pisarza, co i kto nadchodzi lub niedawno nadszedł. Tyle. I to bynajmniej nie są zyski bagatelne, jak by się mogło wydawać. Powstaje bowiem rodzaj autentycznej dokumentacji życia młodoliterackiego.

Wszak jeśli idzie o toruńskie spotkanie, to poza stałymi uczestnikami rozmaitych zjazdów, jak stale smutny Krzysztof Nowicki, było ono zasadniczo rewią pisarzy tak czy inaczej związanych z ruchem warszawskiej „Orientacji", z „pokoleniem Hybryd", zresztą chyba najbardziej prężnym, a w każdym razie najgłośniejszym środowiskiem młodoliterackim (jeśliby terminu „środowisko" nie ograniczać zbytnio dystynkcjami ściśle terytorialnymi). Nawet skłócony weteran ruchu, Edward Stachura, się stawił. Zatem sesja we własnym gronie. Może dlatego obok spraw ważnych jawiły się tam kwestie niesłychane, w rodzaju: „Gąsiorowski nigdy nie miał odwagi powiedzieć, dlaczego w jego życiu istnieje Leszin!"

Ale dajmy spokój plotkom oraz udanej przecie — imprezie toruńskiej. Trzeba bowiem odnotować nowy rodzaj spotkania młodych piszących. Oto na Lubelszczyźnie — tak, na Lubelszczyźnie! — obradowała i rozgrywała się w dniach 22—23 V 1971 r. „Biesiada literacka".

Organizatorów — jak zwykle przy przy tym typie spotkań — było wielu. Ponieważ to pierwsza (i oby nie ostatnia) „Biesiada", przeto wymienię ich wszystkich: Krajowa Rada KKMP, Ośrodek Lubelski KKMP, Wydział Kultury PWRN, Zarząd Główny STL w Lublinie, WDK, Zarząd Wojewódzki TWP, Wydział Oświaty i Kultury PPRN w Hrubieszowie, Towarzystwo Regionalne Hrubieszowskie, PDK w Hrubieszowie, Wydział Kultury PPRN w Zamościu, PDK w Zamościu oraz Oddział Rejonowy PUPiK „Ruch" w Zamościu.

W zestawieniu z IX Toruńskim Majem Poetyckim, rewią nieco ekskluzywną, była to impreza pomyślana jako szersze spotkanie ludzi z terenu, czyli młodych piszących, zorganizowanych w ruchu KKMP. I była jeszcze pomyślana jako spotkanie w terenie. Pomysł właściwie pionierski i przedni, aczkolwiek trzeba powiedzieć, że pełną mocą wypalił przede wszystkim drugi człon tego pomysłu.

Hrubieszowscy i zamojscy organizatorzy z wielkim sercem podeszli do uczestników „Biesiady", m. in. zapewniając każdemu dwa wieczory autorskie, głównie w miejscowościach „poniżej powiatu", dokąd młodych autorów rozwożono samochodami. Natomiast część referatowo-dyskusyjną ulokowano w Kotorowie, wsi pow. hrubieszowskiego, dokąd z Malic trzeba było 3 km jechać furmankami ze względu na porę deszczów, które rozmyły drogę. Mała przygoda dla mieszczuchów, zapowiedź przygody późniejszej.

Gościnnym gospodarzem części referatowo-dyskusyjnej był tutejszy poeta ludowy, Stanisław Buczyński, w którego pięknie ustrojonym obejściu obradowano pośród kwitnących bzów i jaśminów. Nic nie zmyślam, sama sielanka przyrodnicza, przynajmniej na początku. „W takiej scenerii jeszcze nigdy nie przemawiałem" — rozpoczął Jacek Kajtoch swój referat, jedyny zresztą wygłoszony podczas „Biesiady", zatytułowany: „Sytuacja młodej literatury". Istotnie, sceneria jak na tego rodzaju spotkania — wyjątkowa. Tym więcej, iż wraz z początkiem referatu rozbrzmiało rżenie pracowitego czworonoga. Złośliwi mówią, że koń się uśmiał, czego ja nie podzielam.

Ostatnią grupkę uczestników obrad pożegnał Buczyński wierszem, niedawno przez siebie napisanym:

Widoku pola mi nie zatrze
Ni noc, ni tuman biały,
Więc będę ciągle patrzeć, patrzeć,
Aż się przepalę cały.
Bez iskier nie wybuchną
Fotary, nawałnice.
Daj Boże, bym się rozpadł w próchno
Pod żyto i pszenicę.

A trzeba dodać, że już w tak zwanym międzyczasie sielską aurę obrad zakłócił rzęsisty deszcz, co wszak nie zepsuło humoru raczej nikomu. Dodatkową a osobistą moją satysfakcją był widok potężnych gołych łydek red. dr. Jacka Kajtocha i bosych jego stóp, którymi miesił 3 km błota w drodze powrotnej do Hrubieszowa — w strugach deszczu. Sam zresztą tak się urządziłem, i tylko troskliwej opiece hrubieszowskich działaczy kultury zawdzięczam, że w objęcia żony i córki nie powróciłem z monstrualnym przeziębieniem. Takie to były przygody w terenie.

Oczywiście prócz referatu i dyskusji oraz nieprzewidzianych przypadków atmosferyczno-turystycznych, a także oprócz spotkań autorskich, było szereg imprez, zwykle towarzyszących sesjom w rodzaju „Biesiady literackiej": noc jazzu i poezji (w Klubie „Kozacki róg" w Hrubieszowie), koncert poezji Leśmiana, Urszuli Kozioł i uczestników „Biesiady" w wykonaniu recytatorów z Zamościa (PDK Zamość) oraz również w Zamościu turniej jednego wiersza. Dla reporterskiej ścisłości podaję, iż w turnieju trzy równorzędne pierwsze nagrody zdobyli: Tadeusz Chudy (Warszawa), Tadeusz Kwiatkowski (Lublin) oraz Gustaw Łapszyński (Zielona Góra), ten ostatni zdobył również nagrodę publiczności. Reszta uczestników turnieju otrzymała wyróżnienia.

Ocena pomysłu „Biesiady literackiej", a także wysiłków organizatorów (szczególnie z Hrubieszowa i Zamościa), musi wypaść pozytywnie. To było nie tylko okazjonalne „uczczenie" Dni Oświaty, Książki i Prasy, to była impreza o zakroju ogólnopolskim, a jeśli w przyszłości będzie powtarzana i rozwinie się, może z powodzeniem konkurować z sesjami w rodzaju Toruńskiego Maja Poetyckiego.

Jedno tylko. Na pierwszej „Biesiadzie" nie dopisała frekwencja autorów, o co chyba przede wszystkim należy mieć pretensje do KKMP, a przecież to miało być ich spotkanie! Nie przyjechał drugi referent, Tomasz Burek, który miał mówić o „lubelskich tradycjach literackich". Nie wszystkie ośrodki KKMP były reprezentowane, choćby jedną osobą. Może dlatego, iż impreza jeszcze bez tradycji.

Szkoda, że tak się stało. Albowiem „Biesiada" mogła się stać — w większym stopniu niż była — szeroką dyskusją na temat ruchu KKMP. Już w referacie Kajtocha sprawa ta została postawiona wyraźnie. Po pierwsze — ruch się starzeje, coraz mniej młodych członków, nowo przyjmowanych. Po drugie — ruch się „urbanizuje", ośrodki KKMP przybierają charakter wielkomiejski. Jak w tych warunkach „aktywizować młodą inteligencję ze wsi i miasteczek", co jest jednym z głównych celów całego przedsięwzięcia? Po trzecie — istnieje dewaluacja poezji, za wielu miernych poetów, za mało prozaików i krytyków. Te trzy mankamenty ze szczególną wyrazistością występują na terenach Polski wschodniej, szczególnie ubogiej w środowiska i inicjatywy literackie.

Nie widzę powodów, dla których „Biesiada literacka" nie miałaby stać się imprezą coroczną — właśnie jako próba „zaktywizowania środowisk terenowych", jako metoda ujawnienia autentycznych talentów, jako — wreszcie — próba dokumentacji i ekshumacji życia młodoliterackiego we wschodnich rejonach kraju. Ze względu na scenerię, w jakiej się może odbywać, już została imprezą szczególną. Niech więc się też taką stanie ze względu na rolę merytoryczną, którą może spełnić.

okolice sztuki

Lubelskie rocznice artystyczne

ZBLIŻA się 35 rocznica założenia Związku Artystów Plastyków w Lublinie. Specjalnych uroczystości nie będzie, wystawa okręgowa i katalog z lepszego papieru muszą wystarczyć. Dla tych, którzy pamiętają świetną galówkę z okazji trzydziestolecia Związku, obecny jubileusz będzie rzeczą powszednią. No cóż, nie jest to w końcu takie istotne, jubileuszowe wiwaty nie świadczą o randze stowarzyszenia twórczego, choć jest u nas sporo jeszcze ludzi, którzy mają odmienne zdanie. Dla nich liczy się oprawa sztuki, a nie sztuka sama, rama obrazu, a nie sam obraz, oni właśnie wymyślają przeróżne „fajerwerki" w rodzaju nocnych wernisaży z udziałem osób wybranych, acz niekoniecznie dostojnych. No cóż, styl to człowiek. To jednak margines.

Okręg Lubelski ZPAP liczy dziś ponad 100 członków. W zasadzie nikt z nich nie żyje z twórczości tzw. warsztatowej, jako że rynek sztuki u nas nie istnieje, prywatni kolekcjonerzy zniknęli z krajowego horyzontu, jednym mecenasem jest państwo. Przemysł, który swego czasu dużo plastykom obiecywał, szybko zapomniał o przyrzeczeniach, współpraca malarzy z zakładami produkcyjnymi ogranicza się w najlepszym wypadku do zaprojektowania kolorystyki dyrektorskiego gabinetu; przy okazji można przemycić między palmy i forniry jakiś obraz własny. I Sympozjum Artystów Plastyków i Naukowców, zorganizowane przez puławskie „Azoty" przy pomocy, bardzo wydatnej zresztą, wojewódzkiego i puławskiego wydziałów kultury, okazało się ostatnim i nic nie wskazuje, aby kiedykolwiek miało się odbyć drugie spotkanie. A była to przecież impreza bezprecedensowa w Europie pod względem skali i programu ideowego, o doniosłym znaczeniu dla dzisiejszego kształtu sztuki polskiej.

Prawda, kosztowała sporo, ale wówczas kombinat dysponował środkami na tego typu imprezy artystyczne, bo znajdując się w trakcie budowy mógł wygospodarować pokaźne co nieco i na sztukę. Wydaje się przecież, że w obecnej sytuacji mógłby kontynuować swoją dobrą rolę mecenasa plastyki. No tak, utrzymuje własny teatr zawodowy, czyli tym mecenasem jest nadal — ale nie dla plastyki, co z pewnym rozżaleniem — niesprawiedliwym, rzecz jasna — akcentuje.

Nawet, gdy z bólem serca pogodzimy się z tą zdradą, nigdy chyba nie zrozumiemy, dlaczego nie opublikowano dotąd dokumentacji Sympozjum jako osobnego wydawnictwa. Podczas licznych spotkań artystów, krytyków i naukowców różnych specjalności wypowiedziano sporo interesujących opinii o sztuce, o jej przyszłości i dniu dzisiejszym, co w sumie dało wyrazisty obraz współczesnej świadomości estetycznej ludzi bardziej lub mniej bezpośrednio uczestniczących w stwarzaniu faktów artystycznych. Wykonano również setki zdjęć fotograficznych. Ten cały materiał, pod postacią protokółów i fotografii, gdzieś musi być. Tylko gdzie? Najprawdopodobniej w Wydziale Kultury Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Puławach. Warto chyba, aby Związek zainteresował się losem tej cennej dokumentacji i spowodował jej opublikowanie w Wydawnictwie Lubelskim.

Ale plastycy lubelscy nie tylko do przemysłu nie mają szczęścia, już dziesięć lat czekają na ukazanie się albumu, prezentującego kilkudziesięciu artystów i ich dorobek (reprodukcje barwne i czarno-białe). To nie pomyłka: dziesięć lat temu rozpoczęto pierwsze prace nad tym albumem, napisano pierwszy wstęp, zredagowano noty biograficzne, wykonano dziesiątki fotografii. Po czym innemu krytykowi zlecono napisanie innego wstępu, następnie zaś — bo i ten nie przypadł do gustu — trzeci autor zabrał się do roboty. A wszystkie te zmiany i przetasowania pochłonęły siedem — osiem lat oraz trzykrotnie zwiększyły koszt albumu.

Kiedy zaś dobiegł końca ten trudny etap, o długości chyba bezprecedensowej w historii tego typu wydawnictw, materiały przekazano do Wydawnictwa Lubelskiego, które pchnęło rzecz całą do łódzkiej oficyny graficznej ZPAP — bodaj dwa lata temu, jeśli nie więcej. Oficyna miała jednak ważniejsze sprawy na głowie, jakiś album plastyki lubelskiej mógł poczekać na luzy produkcyjne, cóż tam umowy i zobowiązania.

Na początku tego roku album wydrukowano. Od kilku miesięcy czeka on w introligatorni na okładkę. Kiedy ukaże się w księgarniach — nie wie nikt, łącznie z Wydawnictwem Lubelskim. Niewiele zresztą osób album ten dziś interesuje, mało kto wierzy, że w ogóle ukaże się on na rynku. Jeśli jednak do tego dojdzie, otrzymamy publikację już historyczną, nie mającą nic wspólnego z obecną sytuacją w lubelskim środowisku plastycznym.

Okręgowi Lubelskiemu ZPAP składamy serdeczne życzenia z okazji jubileuszu.

IJK

z bocznej trybuny

Więcej wiatru!

ŻEGLARSTWO w Polsce nie może się równać popularnością wielu dyscyplinom sportowym, ale jeśli chodzi o ilość zarejestrowanych zawodników, znajduje się na 2 miejscu, za piłką nożną. W kartotekach Okręgowego Związku Żeglarskiego w Lublinie figuruje około 3 tysiące nazwisk; mniej więcej 80 proc. należy do członków aktywnych. Mamy trzech jachtowych kapitanów żeglugi wielkiej (Ziemowit Barański — prezes OZŻ, Tadeusz Zawadzki i Kazimierz Goebel), jachtowego kapitana żeglugi bałtyckiej (Jerzy Szczypa), około 45 sterników morskich i 500 sterników jachtowych. Rocznie szkoli się po 400 osób na stopnie żeglarza i po ok. 60 na sternika jachtowego.

Sport ten dzieli się na dwa zasadnicze nurty: wyczynowy, czyli regatowy, oraz wypoczynkowo-turystyczny. W wyczynie przodują dwa kluby puławskie: „Wisła" i „Żeglarz". W roku 1971 na mistrzostwach Polski juniorów puławianin Piotr Kłoczewski zajął drugie miejsce. Kilku innych zawodników z tego miasta (Momont, Koletko, Mizera) należy do czołówki krajowej. Niestety, puławskie kluby nie przejawiają zainteresowania wypoczynkiem i turystyką pod żaglami. W rezultacie Wisła, w granicach województwa lubelskiego, jest do tego celu prawie zupełnie nie wykorzystana.

14 pozostałych klubów żeglarskich na Lubelszczyźnie nastawia się głównie na rekreację. Najsilniejsze liczebnie i bazowo są kluby lubelskie, zwłaszcza LOK, Yacht Club Polski niedawno zorganizowany przez Waldemara Cechowicza oraz AZS WSR obejmujący studentów i pracowników naukowych wszystkich uczelni. Dobrze rozwija się klub w Świdniku, natomiast chełmski, włodawski i kraśnicki są dopiero na dorobku.

Żeglarze lubelscy pływają głównie na jeziorach Białym, Firleju, Zagłęboczu i Piaseczne, na nich trzymają na stałe większość sprzętu, nad nimi mają swe przystanie i hangary. Kluby LOK i PTTK dysponują ponadto bazami na Mazurach. OZŻ posiada też zatokową jednostkę „Czart", stacjonującą na Zalewie Szczecińskim (dla 4—5 osób, powierzchnia żagli 30 m kwadrat.).

Główną dumą naszego żeglarstwa jest oceaniczny jacht „Roztocze", stacjonujący w Szczecinie, jeden z najpiękniejszych i najszybszych w Polsce; zazdroszczą go nam nawet województwa nadmorskie. „Roztocze" ma nominalną powierzchnię żagla 140 m kwadrat. (ale faktycznie, gdy wciągnie spinakery, osiąga ok. 310 m kwarat.) i bierze na pokład 10—14 osób. W ubiegłym roku 12 osób brało udział w rejsie „Roztoczem" do Sagne Fiordu w Norwegii i 11 osób w rejsie do Anglii i Danii, połączonym z udziałem w regatach, oraz 13 osób w rejsie do NRD zakończonym zdobyciem III miejsca w regatach Ostsee Woche. W roku bieżącym 10 osób popłynie na oceaniczny rejs na Wyspy Owcze. Wyślemy też załogę na Ostsee Woche. Przy okazji warto przypomnieć, iż kierownikiem naukowym wyprawy jachtu „Śmiały" był lublinianin doc. Tadeusz Wilgat, sternik jachtowy, a członkiem załogi dr Krzysztof Wojciechowski, jachtowy sternik morski. Zresztą dowodzący wyprawą j. kpt. ż. w. Bolesław Kowalski to też wychowanek lubelskich klubów żeglarskich.

Mimo tego i mimo sklasyfikowania naszych żeglarzy na wspólnym z dwoma drużynami 5—6—7 miejscu na spartakiadzie młodzieżowej w roku 1969, sytuacji nie można uznać za zadowalającą.

Na całym świecie żeglarstwo rozwija się coraz bardziej dynamicznie, co wiąże się z urbanizacją, tempem życia, hałasem, zanieczyszczeniem powietrza i wzrostem wolnego czasu. Ludzie w poszukiwaniu spokojnego wypoczynku uciekają nad wodę. Jednakże bierny wypoczynek nie daje takiego efektu jak czynny, a poza tym nad wodą też bywa tłoczno i hałaśliwie, wobec tego dąży się do wykorzystania samych obszarów wodnych. Żeglarstwo jest jednym z najzdrowszych sportów — dla dzieci, młodzieży, dorosłych i nawet ludzi starych. Daje okazję do przebywania na świeżym powietrzu, wymaga ruchu, pewnego wysiłku fizycznego, odpręża psychicznie, uczy koleżeństwa, zaspokaja potrzebę przeżywania wielkiej przygody, a poza tym ma cechy użytkowe. Pozwala stosunkowo tanio uprawiać turystykę na wodach śródlądowych, morzach i oceanach. Niestety, w Polsce, posiadającej 500-kilometrowy pas wybrzeża morskiego, rzeki i jeziora, sport ten nie jest jeszcze dostatecznie rozwinięty. Na przeszkodzie stoi cena sprzętu. Nie pomoże sława samotnego rejsu kapitana Teligi, jeśli podstawowa łódź do nauki pływania pod żaglem „Omega" kosztuje 30 tys. zł. Dla wielu klubów jest to wydatek zbyt duży, dla osób prywatnych na ogół niemożliwy. Uzdolnieni amatorzy dużo niższym kosztem potrafią wybudować „Rambler", większy od „Omegi", z krytym pokładem, mieszczącym pod sobą kabinę dla 4—6 osób. Takich jest jednak niewielu. Produkcja seryjna powinna kosztować mniej. Tymczasem nawet wprowadzenie tworzyw sztucznych do budowy łodzi nie zniżyło cen.

Wiele osób i instytucji zajmujących się rekreacją nie interesuje się wcale żeglarstwem. W Kazimierzu nie ma przystani żeglarskiej, nie uprawia się tego sportu. Przy budowaniu i planowaniu ośrodków wypoczynkowych w tym miasteczku nikt nie przewiduje możliwości uprawiania tu żeglarstwa. W samym Lublinie żeglarstwo jest niemożliwe ze względu na brak odpowiedniego akwenu. Wyjazdy nad jeziora podrażają koszta. To wszystko nie sprzyja szybszemu umasowieniu szkolenia żeglarzy. Dopóki nie będziemy mieli sztucznego zalewu w granicach miasta, sytuacja radykalnie nie zmieni się.

R. W.

Kamena str. 10

moje LEKTURY

Komentarze do Żeromskiego

JULIAN Przybos napisał był kiedyś zdanie, które dla wielbicieli twórczości Żeromskiego brzmiało bardzo prowokacyjnie: *To, co powiem, może zadźwięczeć w uszach historyków i krytyków literatury dziwacznie i brzmieć jak przepowiednia dalekiej pogody. Przypuszczam, że w przyszłości czytać się będzie większość prozy powieściowej Żeromskiego jak odnośnik do jego „Dzienników", jak objaśnienie i rozwinięcie stanów duchowych, których autentyczny głos dały „Dzienniki", jak ozdobny komentarz literacki, obszerny przypisek do przeżytego życia...*

Wyjaskrawione — jak zwykle u Przybosia — słowa zawierają coś z prawdy: proza i dramaturgia Żeromskiego będą szybciej poddawać się wpływowi czasu niż rzeczowa na ogół relacja „Dzienników". Granicy ścisłej między nimi a twórczością „prawdziwą" Żeromskiego nie da się zresztą ustalić. Wiadomo, iż „Dzienniki" stanowiły dla ich autora szkołę pisania, szkołę stylu, niektóre wczesne utwory wprost stamtąd zostały wyjęte, co niekiedy kwitował Żeromski uwagą „Z dziennika". Z drugiej strony od dawna pojawiały się wypowiedzi, m. in. Feliksa Araszkiewicza, które dostrzegały w „Dziennikach" powieść autobiograficzną.

Dzieje dwudziestu paru zeszytów z tekstem „Dzienników" ułożyły się niezwykle dramatycznie. Pozostawione w domu macochy, dostały się w ręce pensjonarek, toteż w 1912 r. za pośrednictwem S. Piołun-Noyszewskiego czynił Żeromski energiczne starania, by młodzieńcze zeszyty wydostać „z rąk tak mało dyskretnych", „iście — jak pisze — kieleckich". W czasie ostatniej wojny „Dzienniki" rodzina pisarza złożyła jako depozyt w Bibliotece Narodowej w Warszawie. Wywiezione były do Austrii przez Niemców, następnie rewindykowane, ale pewna część zeszytów uległa rozproszeniu. Już po powtórnym wydaniu „Dzienników" w sześciu tomach w ramach „Dzieł" Żeromskiego, wydawanych przez „Czytelnika" pod red. Stanisława Pigonia niedawno ujawnił się nowy, nie znany jeszcze zeszyt. Fragmenty, które Jerzy Kądziela drukował w „Życiu Literackim" i „Kurierze Polskim", pozwalają spodziewać się nowego zasobu faktów dotyczących biografii pisarza w bardzo węzłowym jej momencie: chodzi o czas po opuszczeniu Łysowa w końcu maja 1890 i pierwsze miesiące pobytu w Nałęczowie. Przecież to czas „Siłaczki", „Zmierzchu" i „Zapomnienia". Z krótkiego epizodu kieleckiego po wyjeździe z Podlesia wyrósł potem „Promień".

Ale nie o całych „Dziennikach" chciałbym tutaj pisać, lecz o tomie siódmym autorstwa... Jerzego Kądzieli. Tom ten obejmuje bowiem przypisy do tomów poprzednich oraz słowniki i skorowidze. Na to edytorskie zwieńczenie czekali niecierpliwie czytelnicy i entuzjaści „Dzienników" (a nie brakuje ich!). Pamiętajmy, że ukazywały się one w latach 1963—1966, cztery więc lata przyszło wstrzymywać się z zaspokajaniem ciekawości. A przecież, przynajmniej dla mniej wprawionego i wytrawnego czytelnika, niemal żadna strona „Dzienników" nie obejdzie się bez komentarza.

Z całą świadomością nazwałem 7 tom „Dzienników" dziełem Jerzego Kądzieli. Godzi się w tym miejscu przypomnieć, iż pracował on przy edycji „Dzienników" od samego początku, współdziałając najpierw z Wacławem Borowym, a następnie ze Stanisławem Adamczewskim. Samodzielnej jego pracy późniejszej nad wydaniem dzieła Żeromskiego patronował prof. S. Pigoń. Po tym uczonym przejął Kądziela trud dokończenia przygotowywanej od dawna publikacji listów Żeromskiego, których scalony kształt na pewno da jedno z największych dzieł autora „Popiołów".

Praca komentatora i wydawcy nie jest wdzięczna i rzadko doceniana. Tym bardziej musi budzić zdumienie i szacunek ogrom wysiłku włożony przez Kądzielę, by dać czytelnikowi tom obejmujący ponad siedemset stron, gdzie znajdzie się objaśnienie i lokalizację każdego cytatu (a wiadomo, ile tekstów i ilu autorów przywołuje Żeromski w swoim dziele) oraz osób wspominanych. Szczególnie cenne są zamieszczone w tomie słowniki nazwisk, nazw geograficznych oraz czasopism. Żeromski był pilnym czytelnikiem ówczesnej prasy, czytelnikiem bardzo krytycznym i pisma te wywierały silny wpływ na kształtowanie się świadomości przyszłego pisarza. Omówienie więc roli jakiegoś pisma i przedstawienie jego kierunku ideowego jest bardzo potrzebne.

„Dzienniki" zapowiadały w zalążku wiele z tego, co później Żeromski — dojrzały już pisarz — spełniał w swoim dziele. Szczególnie wcześniejsze nowele i opowiadania tkwią korzeniami w jego niedawnych przeżyciach i doświadczeniach. Na te wszystkie zbieżności między całą twórczością a „Dziennikami" Kądziela wskazuje precyzyjnie, jakkolwiek sprawa ta nie została przez badaczy jeszcze dostatecznie zbadana.

Oczywiście, jak w każdej pracy, tak i tu znajdują się pewne nieścisłości, niedokładności, niekiedy można by oczekiwać objaśnień dokładniejszych. Czy nie warto było przy historii Michała Tarki, wysłanego staraniem Żeromskiego na naukę do Warszawy, wspomnieć, jak fakt ten inspirował „Pojednanych" Prusa albo jakie znalazł odbicie w „Syzyfowych pracach"? Przy wzmiance zaś „Dziennika", że Oktawia Rodkiewiczowa zainteresowana była ongiś Witkiewiczem, można było dopowiedzieć, że w „Ludziach bezdomnych" dziennik Joasi o tym samym wspomina. Jeśli natomiast chodzi o słownik nazw geograficznych, to są bodaj wszystkie, od Wąwolnicy do Kielc, brakuje tylko — Nałęczowa! Dziwne to przeoczenie jak na komentarz do Żeromskiego.

I wydawcy, i wydawnictwu należy się wdzięczność czytelników za tyloletnią pracę i pietyzm wobec dzieła Żeromskiego. Przekazany do ich rąk tom będzie niezastąpionym przewodnikiem po tajnikach „Dzienników", a dla fachowców autonomicznym dziełem naukowym, które może oddać inne jeszcze usługi.

Tadeusz Kłak

Stefan Żeromski: Dzienniki t. 7. Przypisy — słowniki — skorowidze. Opracował Jerzy Kądziela. Warszawa 1970. Czytelnik.

Krzyżówka nr 13

POZIOMO:

1. poeta i malarz polski z przełomu XIX i XX wieku, 6. statua, 9. filozof i estetyk, inicjator życia naukowego i kulturalnego w Wielkopolsce w XIX wieku, 11. nauka o moralności, 12. imię cesarzy niemieckich, 13. autor „Myśli nieuczesanych", 16. rzeka śmierci ks. Józefa Poniatowskiego, 18 oprawa obrazu, 19. wiersze żałobne, 21. mowa niewiązana, 23. zabronienie czegoś, 24. prowadzi sprzedaż i produkcję leków, 26. grecki Amor, 27. pod kranem, 28. naczynie do udoju mleka, 31. włoska rodzina lutników, 33. członkowie rady narodowej, 35. rodzina, z której wywodziło się kilku wojewodów lubelskich z okresu Rzeczypospolitej szlacheckiej, 37. sprzedaż towarów w określone dni tygodnia w określonym miejscu, 39. szczeciński klub sportowy, 42. pojazd kołowy, 43. rzeka we Francji połączona kanałami z Marną i Mozą, 45. odbicie światła, 46. mieszanina głosów, 48. bogini losu, 49. polska pisarka i działaczka rewolucyjna, współzałożycielka Związku Patriotów Polskich.

PIONOWO:

1. pisarz angielski, autor „Portretu Doriana Graya", 2. pisarz amerykański, autor „Złotego żuka", 3. twórca, 4. śląska gra w karty, 5. imię wybitnej polskiej wiolinistki, 6. zgubiła Rzeczypospolitą szlachecką, 7. długie, ozdobne ławki w prezbiterium kościoła, 8. wybitny poeta polski, twórca „Zielonej gęsi", 10. miasto — uzdrowisko w woj. kieleckim, 13. historyk radziecki, autor biografii „Napoleon", 14. poczet, asysta, 17. odcinek trasy, 20. Wisła, 21. kierunek w literaturze i filozofii XIX wieku, 22. w kopalni lub choroba wieńcowa, 25. zbłądziły pod strzechy, 29. pisarz, piewca Podhala, 30. imię znanego polskiego karykaturzysty, 32. dopływ Wisły przy jej ujściu, 34. państwo europejskie, 36. bandytyzm, 38. wieś w pow. opatowskim, słynna z akademii ariańskiej, 40. miejscowość letniskowa w pow. gryfickim, 41. zatoka Morza Czerwonego, 44. usypisko, 47. wezwanie.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

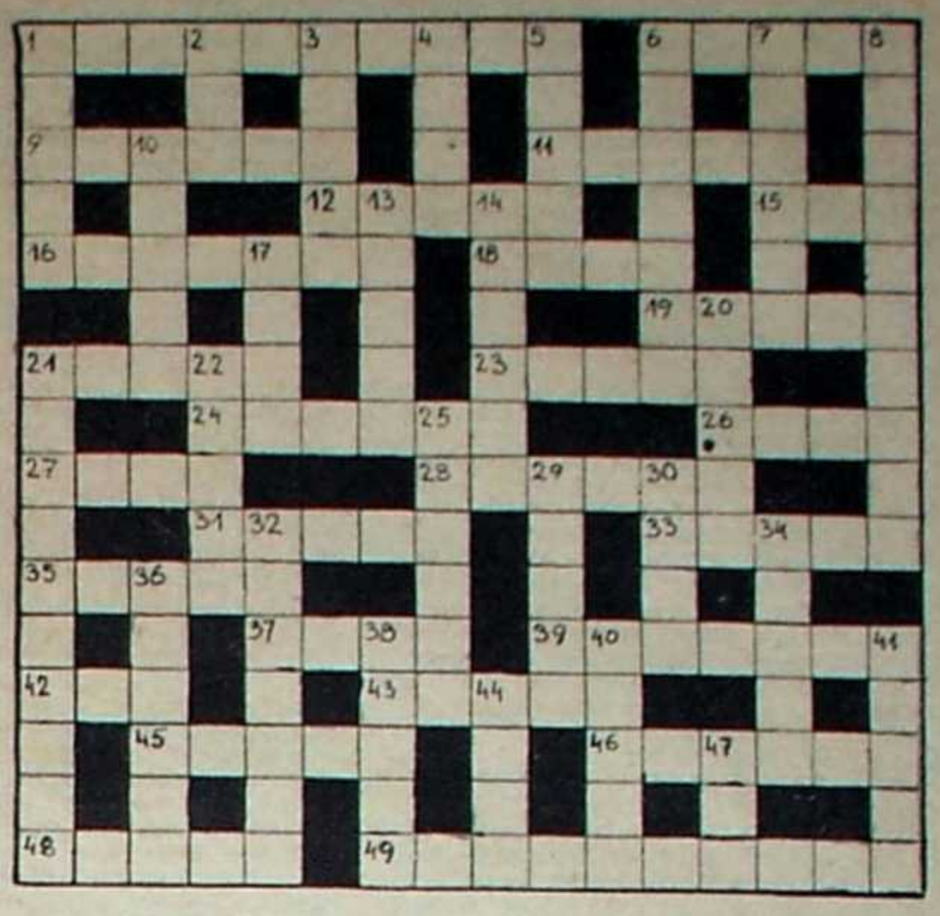

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 11

POZIOMO: 1. Inkunabuł, 5. Kossak, 8. Kalipso, 9. Wina, 11. Anin, 12. Oporto, 13. Parki, 15. idee, 16, złoto, 17. Lec, 19. Weyssenhof, 21. Orestes, 23. Menażer, 26. Konopnicka, 30. aga, 31. skiba, 34. sole, 36. kozak, 38. skrzep, 39. ślad, 40. Kain, 41. nasiona, 42. awaria, 43. Krasiński.

PIONOWO: 1. Inkluz, 2. unikat, 3. Broniewski, 4. ławnicy, 5. kanoe, 6. staruch, 7. kaloryfer, 8A. sak, 10. apele, 13. pole, 14. ront, 18. Enna, 20. Samarkanda, 21. orkiestra, 22. smog, 24. Nisz, 25. żbik, 27. nagroda, 28. Pasek, 29. cześnik, 32. kamień, 33. askari, 35. Opawa, 37. oda.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 11 nagrody książkowe wylosowali: Jan Jelonek, Kraków, Helelów 2; Helena Cieplińska, Warszawa 22, Białobrzeska 10 m. 2; Stefan Janiec, Lublin, ul. Skibińska 26 m. 12; Zofia Michalczuk, Biała Podl., Pl. Armii Ludowej 4.

Cieplarniane wychowywanie

W DYSKUSJI na temat zwalczania pasożytnictwa społecznego, zamieszczonej w numerze 10 „Kameny", zastanowiło mnie pytanie tytułowe — mianowicie: karać pracą czy wychowywać pracą?

Otóż z mojego, nie naukowego co prawda, punktu widzenia wynika, że kara mieści się także wśród metod wychowawczych. Jest ostatecznością w metodach wychowawczych, ale praktycznie do nich się zalicza i werbalność tej metody nie powinna mieć decydującego znaczenia gdy chodzi o dobro sprawy. Trudno uwierzyć, aby ukształtowanego już pasożyta udało się wychować inaczej niż represją. Cierpliwe perswazje czy kolejne próby oczekiwania na jego nawrócenie są tylko działaniem na zwłokę. Metody te po prostu nie dochodzą do jego świadomości, bo on sam tego nie chce. A jeśli tak, to czy warto się bardzo zastanawiać nad formą? Skoro nie chce dobrowolnie oddawać zadłużenia wobec społeczeństwa, to nie pozostaje chyba nic innego, jak egzekwować od niego tę powinność na drodze prawnej.

To nic, że przymus pracy przyjmie on jako karę. W jego bądź co bądź ograniczonej mentalności może się to i tak nazywać, chodzi o to, aby nie pozwolić mu na prowadzenie rozkładowej działalności w społeczeństwie. Tym więcej, że owa „kara" pracy jest sama w sobie dobrodziejstwem dla skazanego. Nasz wymiar sprawiedliwości i tak nad wyraz humanitarnie podchodzi do wszelkiego rodzaju przestępców spod znaku noża i pięści. W swoim czasie słynny Kot np. zniszczył szereg ludzi dla własnego ubawu, czy też dla zaspokojenia patologicznej żądzy krwi — ale nad zniszczeniem jego życia zastanawiano się bardzo długo. W gronie prawników podobny przykład znajduje na pewno uzasadnienie, lecz ogromna większość obywateli, nie wtajemniczonych w paragrafy, stawia sobie pytanie: czyżby szkodnik, przynależny do najwyższego gatunku biologicznego, tylko z tej właśnie racji musiał być specjalnie chroniony, aczkolwiek jego działalność jest w skutkach bardziej szkodliwa niż działalność szkodnika niszczącego korzenie pożytecznych roślin.

Człowiek nie rodzi się pasożytem. Dlatego też wydaje się godne zastanowienia, na jakim podłożu i w jakim klimacie następuje owo przeobrażenie. Nie ma przecież skutku bez przyczyny. I tu ośmielam się sugerować, że pasożytów dostarcza nie tylko tzw. margines społeczny, lecz w znacznej mierze rodziny na pozór całkiem układne. Właśnie to wydaje mi się bardzo niepokojące. A wszystko zaczyna się zupełnie niewinnie, jeszcze w dzieciństwie, kiedy to rodzice izolują dziecko od minimalnej chociażby pomocy w obowiązkach związanych z egzystencją całej rodziny. To już są pierwsze lekcje nierozumienia pracy, a tym samym niechęci do niej. Powiada się często w obecności dziecka: niech ono się tylko jakoś uczy, a wszystko inne... Taka postawa wynika na pewno z miłości rodzicielskiej, tymczasem potencjał wygodnictwa i beztroski tworzy pokłady w psychice bardzo wcześnie, by w późniejszym okresie urosnąć w przeświadczenie młodego człowieka, że do roboty przeznaczeni są rodzice, a on — do innego już życia należy. Do takiego, mianowicie, gdzie sztuką jest nie narobić się, ale jak najwięcej zarobić.

Charakterystyczne jest, że ludzie ubiegający się o pierwszą pracę bez względu na posiadane kwalifikacje z reguły stawiają najpierw pytanie o wysokość wynagrodzenia. To, czy od razu potrafią z siebie dać równowartość ceny — jest dla nich bezprzedmiotowe albo drugoplanowe.

Bez wpojonego przede wszystkim przez dom rodzicielski przeświadczenia, że najpierwszym środkiem do zdobycia pozycji w społeczeństwie jest praca, że powinna ona być celem i honorem człowieka — obowiązek pracy nie może być inaczej przyjmowany jak poświęcenie lub kara, ponieważ w tym przypadku nie zna się wartości pracy w ogóle.

Dziewczyna, która stale przychodzi do uprzątniętego mieszkania, do gotowego obiadu, nawet do upranej bielizny osobistej — nigdy nie doceni, ani nie będzie miała szacunku dla pracy sprzątaczki czy kucharki. W jej pojęciu to prawie abstrakcja; jakoś się robi, skądś tam się bierze wszystko co potrzeba i — najważniejsze, że jest. Rodzice kupują synkowi elektryczną gitarę, albo wymarzone rajfle, bo w szkole raczył przejść do następnej klasy — i fajnie jest. A jaki to uszczerbek dla rodzinnego budżetu — to już arkana nie na młodocianą świadomość. Rodzice zresztą powiadają wręcz, że jeszcze nie dorósł, aby tym miał zaprzątać sobie głowę. No to i spokojną głowę ma synek, a w szkole średniej, kiedy coś się nie powiedzie — mówi do kolegów z przechwałką: co się będę martwił, „stary" mi załatwi...

Na ogół wiemy, chociaż nie zawsze głośno chcemy o tym mówić, ile jest zabiegań rodzicielskich, aby uchronić latorośl przed hufcem pracy, który obowiązuje od pewnego czasu po przyjęciu na pierwszy rok studiów. Tego, że owa latorośl ma już w ręku indeks, uprawniający do bezpłatnych studiów, często wynagradzanych nawet w postaci stypendium — prywatnie jakoś się nie zauważa, nie traktuje jako dobrodziejstwa ustroju. Że tam kiedyś cała rodzina musiała dokładać się finansowo aby jeden mógł studiować? Co było a nie jest...

Analizuje się natomiast ryzyko przepracowania się młodego organizmu na świeżym powietrzu.

Start w życie z takiej postawy to tak, jakby zaledwie kandydata na sportowca wytypować na igrzyska olimpijskie. Karku może nie skręci, ale i sławy nie przyniesie. Przerazi go wysiłek, jakiego wymaga wytknięty cel. Wszystko bowiem, czego nie znamy, do czego nie jesteśmy chociaż pobieżnie wprowadzeni, wydaje się na wstępie trudne, często nie do pokonania i wtedy pokusą jest łatwiejsza droga, która jednak może się okazać ślepą uliczką. Dlatego też jeśli już wychowywać pracą, to tylko póki czas, bo — jak zresztą było już powiedziane w dyskusji, do której nawiązuję — „Dziecko można przekonać czy zmusić (...) uczuciami, presją rodziny. Potem te możliwości się kończą".

Wydaje się, że usprawiedliwieniem cieplarnianego wychowywania dziecka nie może być chęć rekompensaty za własne pogmatwane i trudne dzieciństwo, jak to się słyszy od rodziców. Kto wie, gdyby nie te trudne dzieciństwa roczników międzywojennych — czy możliwe byłoby dokonanie tej miary odnowy naszego ustroju? Czy ludzie potrafiliby te odnowę opłacać własnym życiem, kiedy nie było innej ceny za dobro ogółu?

Alina Guzowska

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Rzadkiej piękności dzieło otrzymaliśmy niedawno. Utwór wstrząsający, który klasą sam dla siebie, toteż nie ośmielamy się komentować:

W domu wciąż pokrzykiwanie
— Grzyb zarasta mi mieszkanie.
— Helou, Grzyb?
— W żołądź cheesz,
Czy w ślip!
— Helou, Grzyb!
Na to Grzyb:
— Ty bydlę, ty!
Ani mi się śni,
Tra lala la la.
Dam ci w łeb,
Boś jest kiep,
Ty bydlę, ty!
Bójka gorzała
przez dwa dni bez mała.
Na trzeci dzień
Grzyba cień
powiedział, żebym go tłukł mniej.
— Grzybie, ty bydlę, ty!
Umrzyj, ale nie mdlej!

I jeszcze dwa smakowite cytaty z twórczości innego autora:

Szerokimi ulicami maszerują górnicy uśmiechnięci,
Których podziwiają nawet docenci.

Słońce robi ludziom dużo dobrego,
Ale gdy zajdzie — cóż z tego!

Satysfakcja nasza tym większa, iż autor ten donosi: „Jestem stałym czytelnikiem Kameny i od kilku lat interesuję się utworami, które są drukowane w Kamenie. Na wzór tych utworów napisałem około 30 utworów, jeśli można ich nazwać utworami..." Tak oto szlachetne wzorce kamenowej poezji przyświecają nawet poetom spod znaku Poste Restante.

Listy do KAMENY

Teren zamknięty?

W ostatnią niedzielę maja pojechałem samochodem nad jezioro Zagłębocze. Wjazd przez ośrodek WZGS był zamknięty, przed innymi drogami ustawiono znaki zakazujące wjazdu wszelkim pojazdom poza samochodami administracji państwowej. W końcu udało mi się znaleźć małą przecinkę w zagajniku, którą można by przejechać, gdyby nie bagno broniące dostępu. Dla zmotoryzowanego turysty jezioro, otoczone lasami, jest praktycznie niedostępne. W ubiegłym roku można było swobodnie dojechać nad sam brzeg, dziś tylko pracownicy WZGS korzystają z tego przywileju. Nie sądzę, aby było to zgodne z zasadami demokracji. Jezior, czystych i ładnie położonych, nie mamy zbyt dużo w pobliżu miasta, a w samym Lublinie brakuje basenów o wielkości proporcjonalnej do liczby mieszkańców Kozłego Grodu. Co więc ma robić człowiek, który chce wypocząć w niedzielę nad wodą, a nieszczęściem posiada samochód? Jechać sto kilometrów dalej, nad jezioro Białe? No cóż, benzyna kosztuje, czas także. Firlej natomiast jest zbyt brudny, żeby w nim nogi nawet zamoczyć.

Tak na marginesie chciałbym poczynić uwagę generalną, że te wszystkie ośrodki kempingowe zakładów pracy, które niczym stonka obsiadły najpiękniejsze brzegi lubelskich jezior, to chyba w naszych warunkach społecznych jakieś zasadnicze nieporozumienie. Ośrodki te należałoby zreorganizować w kierunku otwarcia ich dla wszystkich ludzi. Przecież nad jezioro Firlej, pal licho jego brudy, trudno się człowiekowi wcisnąć, tak szczelnie zostało opasane domkami przeróżnych instytucji, które nawet wodę między siebie podzieliły siatką ogrodzeniową.

Adam Wiśniewski
Lublin

„Wypracowanie domowe"

Dla człowieka zajmującego się pisaniem, nie ma chyba milszej korespondencji niż list od swego dawnego nauczyciela języka polskiego. Otóż spotkała mię ta przyjemność. Pan Marian Jeżowski, mój profesor gimnazjalny, którego nazwisko pozwoliłem sobie umieścić w artykule „Wypracowanie domowe", przysłał mi na ten temat uwagi. List ma charakter prywatny, lecz jego fragment dotyczy pewnego ustępu artykułu. Stąd publikuję ów fragment listu prof. Jeżowskiego: „Kochanowski oprócz części Czarnolasu, miał tylko na Parnasie włości. Właścicielem wsi Dziesiąta nigdy nie był. Zresztą z treści wymienionej fraszki, którą cała klasa znała ponoć na pamięć, wynika, że wieś ta była w posiadaniu doktora Montana, którego (jako dobrego towarzysza, wziętego lekarza, a z czasem kanonika lubelskiego) poeta odwiedzał. Jemu też poświęcił inną fraszkę „Do Doktora", ale też ze względu na swawolną treść, polonista nie czytał młodzieży, bo klasa była koedukacyjna."

Za list i ciepłe słowa w nim dla mnie, serdecznie, Profesorze, dziękuję.

Romuald Wiśniewski

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WAŚNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), TADEUSZ KŁAK, ZYGMUNT MANKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Numer łamał KONSTANTY KĘPA

Adres redakcji:

Lublin, ul. Narutowicza 35

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 235-33, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecona i ekspresowa — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 1494. 2.VI.71. 9.441. A-5

W Bombaju, oho!

Kazimierz Pawełek

PROSZĘ, proszę do mojego stolika — zaproponował grzecznie dystyngowany dżentelmen, znany w pewnych kręgach jako mistrz czarnej magii, reżyser, aranżer, poeta, choreograf, konferansjer, scenarzysta i, w zależności od potrzeb, coś więcej, chociaż rozdawane gęsto wizytówki ze srebrnymi literkami anonsowały raczej skromnie: Artysta widowiskowo-rozrywkowy. Warszawa. Polska.

— Dawno pana nie widziałem — zacząłem chytrze rozmowę, mając w pamięci wielomiesięczną absencję mistrza na rynku artystycznym kilku sąsiadujących z sobą województw.

—Teren, drogi panie, teren też potrzebuje dobrej rozrywki — wyjaśnił krótko, a ja natychmiast zrozumiałem, że brzydkie insynuacje zawianych ludzi o zmianie wędrownego trybu życia mistrza na bardziej osiadły nie mogły mieć żadnych podstaw.

Najbardziej wszechstronny twórca kilku województw zasępił się, a ja niemal przestałem oddychać, nie chcąc przerywać na pewno płodnego w artystyczne skutki milczenia. A może jeszcze przetrawiał swą jedyną artystyczną klęskę? Tak być mogło. Fundamentalne dzieło jego życia, jak sam podkreślał, a jak zapewniały afisze: Największe i najwspanialsze widowisko gastronomiczno-rewiowo-kabaretowe Polski południowo-wschodniej pod tytułem „W Bombaju, oho!" — poniosło apokaliptyczną klęskę. I to przez zwykły, najzwyklejszy przypadek. Przez zwykłego, najzwyklejszego węża boa, który nie potrafił docenić zaszczytu, jaki nań spłynął — bo jak inaczej można nazwać udział w tak wspaniałym widowisku? — i zdechł. Brzydki postępek węża starano się wytłumaczyć tym, że pewna długonoga piękność miała zwyczaj (broń Boże wąż!) w czasie przerwy w produkcjach wężowo-tanecznych, i nie tylko, przysiadać się do stolików nieznajomych, acz bardzo życzliwie usposobionych do niej panów.

Wystarczył moment nieuwagi i życzliwie usposobieni panowie wlali w przełyk desperacko broniącego się węża zawartość jednej z wielu nagromadzonych na stoliku butelek, sądząc mylnie, iż długonoga piękność ma tak niezłomne zasady, a istotą pijącą z kilku kieliszków jest wąż. Niestety, ich posądzenia okazały się mylne. Gdy nie stało węża, widowisko pod wieloznacznym tytułem „W Bombaju, oho!" zaczęło staczać się z wierzchołków powodzenia ku przeciwległemu brzegowi. Nie pomogły coraz większe afisze ani zapewnienia, że jest to jedyne, niezapomniane widowisko z miłością, zbrodnią, gwałtem (węża), fordanserkami na tle egzotycznego pejzażu i na odwrót — gdy nie stało króla, wojsko poszło w rozsypkę.

W pewnym momencie pojawił się przy naszym stoliku dobrze odżywiony pan, który wyglądał niczym model wyjęty z podwójnego numeru paryskiego żurnala mody.

— Artur, rany boskie, kiedy wyszedłeś? — przywitał nowo przybyłego aktor widowiskowo-rozrywkowy.

Pan Artur zbył milczeniem zbyt enigmatycznie sformułowane pytanie, bo któryż człowiek może pamiętać kiedy i skąd wychodzi?

— Z nieba mi spadłeś — ucieszył się.

— Masz coś dla mnie?

— Jeszcze się pytasz, robimy rocznicę?

Wymowa ostatniego słowa musiała mieć duży ciężar gatunkowy, gdyż obaj panowie zamilkli na chwilę.

— A zezwolenie masz? — spytał z troską w głosie artysta widowiskowy.

— Znasz mnie chyba, ja nic na chama nie robię.

— Jaka taryfa?

— Dostaniesz za półrecital, ale musisz napisać scenariusz. Tylko pamiętaj: rocznica, rocznica i jeszcze raz rocznica!

— A ty?

— Biorę kierownictwo artystyczne całości — powiedział skromnie ten, który niedawno skądś wyszedł.

— Mam już pomysł! Na początek puszczamy film partyzancki. To się teraz liczy.

— Genialne! Później twoja sztuczka z butelką.

— Ale bez myszek! — zastrzegł się artysta widowiskowo-rozrywkowy, który od śmierci węża czuł awersję do wszystkich zwierząt.

— Po tobie „Las Palmas Big-Beat" i znowu ty — dwa wiersze. Coś mocnego: Broniewski, Majakowski...

— Oczywiście.

— Mam jeszcze duet taneczny „Hawajers Girls".

— Zwariowałeś! Na co nam te stare pijaczki?

— Nie było wyjścia, wszyscy w rozjazdach.

— Zresztą, co za różnica. Grunt, że impreza ma swój wydźwięk!

— Koncert kończymy piosenką.

— Zaangażowaną?

— To zrozumiałe. Musimy mieć coś naprawdę mocnego.

— Może „Dziwny jest ten świat?" — zaproponowałem nieśmiało.

— Odpada. W piosence musi być wszystko: miłość do ojczyzny, pogarda dla wrogów, ciężka praca robotników, mazowieckie wierzby, szum traktorów. Wyczuwa pan?

— Ja nie znam takiej piosenki.

— Drobiazg — wmieszał się do rozmowy aktor widowiskowo-rozrywkowy — zaraz ją napiszę.

— No i mamy imprezę — ucieszył się pan Artur.

— Tylko czy będzie miała ona powodzenie? — spytałem nieśmiało.

— Co? Bić się będą o nią! Dyrektorzy „Estrad" plackiem będą przed nami padać. Impreza jest zaangażowana, więc kto się odważy jej nie wystawić? Ta treść, treść, którą jest wypełniona, a pan mi tu, że dziwny jest ten świat. Jaki on tam dziwny...

MINUTA MYŚLENIA

Wstęp do kanikuły

„POWIEDZIAŁ:

— Popatrz, to jest twój portret namalowany przez mistrza Vermera.

I tak zobaczyła siebie z uśmiechem pełnym nadziei oczekiwania, a nade wszystko wiary, z którym szła przed wiekami przez niebieskie Delfy i przez biały Kazimierz nad Wisłą..."

Ten banalny fragment prozy okazuje się... wierszem. Po odjęciu interpunkcji i rozbiciu na przypadkowe wersy ukazał się w „tygodniku społeczno-kulturalnym". Czytam i przychodzą mi na myśl powiedzonka takie, jak „Ala ma kota", „chrząszcz brzmi w trzcinie", czy „nie pieprz Pietrze wieprza pieprzem". Niewątpliwie i w nich zawarty ładunek liryczny względnie treść intelektualna przy zastosowaniu zabiegów charakterystycznych dla współczesnej poezji okaże się materiałem dla wiersza.

Skąd uwaga, ba — życzliwe ucho dla owych „glinianych garnków" i „próśb do macierzanki"? Na czym polega ich supertaryfowoulgowe potraktowanie? Wyobraźmy sobie, że w pewnym gronie rozmawia się o Einsteinie i w jakimś momencie przychodzi mała Dorotka niosąc swą zmoczoną poduszkę. Przez dobrych kilka chwil będzie przedmiotem ogólnej uwagi choćby po to, by nie sprawić przykrości zachwyconej mamusi. Tak i tu. Przez awangardę idzie naiwna dziewczyna niosąc swoje refleksyjki i uczucka akurat takie, jakie się zdarzają w wypracowaniach „literacko uzdolnionych" uczennic z siódmej klasy. Czyż nie będzie „interesujące"? W dodatku owo „cokolwiek" nasuwa podejrzenie o zmęczeniu klekotem aparatury właściwie prócz zgrzytów i hałasów już niczego nie produkującej. Okazuje się, że można przynieść parę szmatek, zdezelowanego pajaca i przedziurawioną piłkę, a będzie to wkład w dyskusję o teorii względności.

W tym samym numerze „czytane wczoraj". Nie bardzo wiem czego tym razem felieton dotyczy, bo że przyrodoznawcy i humaniści mogą mieć wspólny obszar zainteresowań (np. filatelistyka) — wiedziałem dawno. Jeśli jednak oczywistość ta daje autorowi sposobność do wypowiedzenia uwag o nieco innym walorze intelektualnym, mogę ją przyjąć. Na mój jednak prywatny użytek nie mogę przyjąć wmawianej mi nieustannie metafizyczności, a co za nią idzie — filozoficzności „Czarodziejskiej góry" Tomasza Manna. Tu jestem przygotowany na jarmark oburzenia, ale zdania nawet przed obliczem Sandauera cofnąć nie jestem w stanie. Spotkałem się gdzieś z opinią, że owszem, „Czarodziejską górę" można czytać jako li tylko diariusz pobytu pacjenta w sanatorium przeciwgruźliczym. Przewielebna Interpretacjo! A jakże inaczej? Kiedyś, kiedyś, w polemice profesorów zamieszczonej w pewnym miesięczniku naukowym, znalazłem określenie, które jakże mi tu pasuje: „Profesor X z miną człowieka, który pozornie niczego nie wyjaśnia, istotnie niczego nie wyjaśnia".

W tym samym numerze atak na profesora Zina za jego wydane książkowo „Piórkiem i węglem". Atak przez Bogdana Czeszkę wprawdzie całkowicie odparty, a nawet okrywający szatą niejakiej śmieszności koziołulskiego polemistę, więc nie ma potrzeby się jeszcze raz oburzać. Chodzi mi tylko o to, że nawet ten fragment o 33-letniej staruszce, która „coś tam gotuje w starym piecu", nie posiada znamion inkryminowanej mu sentymentalnej łatwizny. Trzeba nie słuchając nie słyszeć Zina, by tak rozminąć się z poetyką jego lokucji. Bo książkę czytać trzeba właśnie uchem. A sentymentalizm? Autor zarzutu miesza tu postawę uczuciową z właściwościami dykcji.

W końcu niech będzie powiedziane i to, że w tym samym numerze... nie ma na dobrą sprawę pozycji, z którymi chciałoby się polemizować, ponieważ nie za wiele pozycji, które chciałoby się czytać. Ze Jerzy Dobrzyniak pokazuje dwa świadectwa z ukończenia klasy szóstej, podczas gdy promocji do siódmej nie otrzymał? Że w elbląskim „Zamechu" nie przestrzega się zasad bezpieczeństwa i higieny pracy, skutkiem czego pracownicy tracą zdrowie? Że w czasie swego pobytu w Ameryce Krzysztof Kąkolewski na masce pożyczonego Chevroleta z 1939 roku napisał „I love Joanna"? Wszystko to są sprawy bardzo ważne, ale mamy przecież w Polsce „Kulisy", „Filipinkę", związkowe biuletyny i gazetki zakładowe. Po co to wszystko w „Kulturze"? Że zwiększa się pojęcia kultury? To spodziewajmy się i instruktażu z zakresu siewu rzepaku ozimego. To też kultura. Agri.

Jednakże jedną niewątpliwą zaletę wymienione lektury posiadają. Na okres kanikuły, czyli Większego Psa z gwiazdozbioru Syriusza — jak znalazł.

Ijon

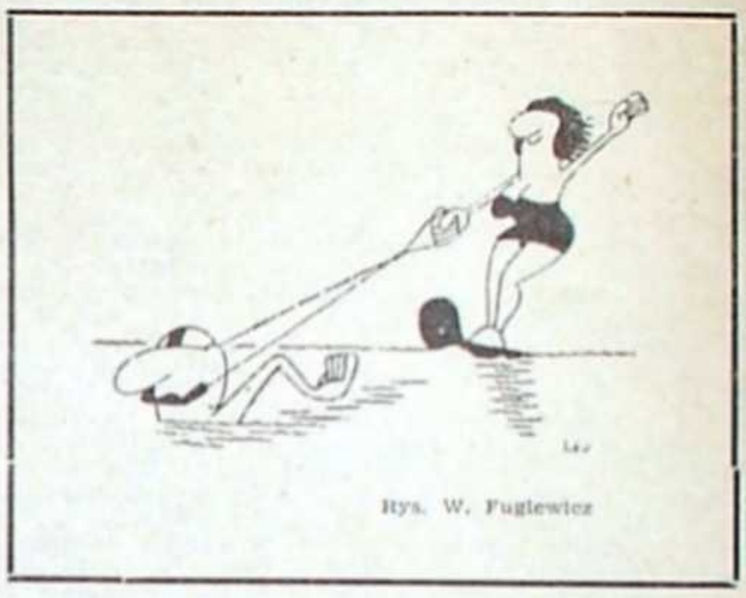

Rys. W. Fuglewicz

FELIETON Z REZERWY

Przepraszam, że żyję

POWZIĄŁEM niecny zamiar kupienia sobie letniej koszuli — takiej z wykładanym kołnierzykiem i z krótkimi rękawami. Wydawało mi się, że jest to w czerwcu sprawunek raczej normalny, chociaż bardziej zaprawieni w bojach z handlem znajomi uprzedzali: koszule letnie trzeba kupować jesienią lub w czasie zimy, teraz znajdziesz szeroki asortyment koszul zimowych.

Ja jednak z wiarą w sercu i gotówką w kieszeni udałem się do PDT. Były koszule, a jakie, i to letnie. Ale w takie jakieś paski do złudzenia przypominające obozowe pasiaki. Nawet nie sprawdzałem, czy jest interesująca mnie numeracja i pojechałem do Bazaru. Było tam trochę koszul, ale mogli je kupować albo ludzie z bardzo chudą szyją i niskiego wzrostu, albo panowie z dwoma podbródkami i wcale pokaźnym brzuszkiem.

Odwiedziłem daremnie jeszcze kilka innych sklepów, aby z resztką nadziei wylądować w sklepie LSS przy ul. Buczka, w tym budynku, gdzie mieści się zarówno zarząd LSS jak i dyrekcja Społem. Sądziłem, że to sąsiedztwo będzie miało jakiś wpływ na zaopatrzenie. Ale gdzie tam. Poszukiwanej koszuli też nie było.

Natomiast nad jednym stoiskiem widniał wielki, kolorowy napis: 150 dni gotowości dla klienta! Zapytałem pana, który wyglądał na kierownika, co to ma znaczyć. Odpowiedział dumnie: reklama. Zapytałem: reklama czego? Odpowiedział jeszcze dumniej: naszej gotowości do obsłużenia klienta. Zauważyłem skromnie, że mnie chodzi nie tyle o gotowość, ile o koszulę określonego, raczej typowego wymiaru, ale ta uwaga została zbyta milczeniem. Zapytałem jeszcze, dlaczego ta gotowość ma trwać tylko 150 dni w roku i co się dzieje w pozostałych 215 dniach. Odpowiedź była zaskakująca: remanenty, remonty, choroby pracowników, przyjęcia towarów.

Koszulę kupiłem w Garwolinie w drodze do Warszawy. Podobnie jak damskie chusteczki do nosa z wzorami, jakich trzy wieloletnie ekspedientki w Lublinie nigdy nawet nie widziały. A w Garwolinie było ich (chusteczek) kilkaset sztuk, jakby w przewidywaniu epidemii kataru.

Zmęczony daremnymi poszukiwaniami w Lublinie, poszedłem do kawiarni „Czarcia Łapa". Tuż przy wejściu był wolny stolik, ale przy nim tylko taborety. Podsunąłem sobie pierwszy z brzegu — i syknąłem z bólu. Okazało się, że na brzegach każdego taboretu przybite są metalowe tabliczki z numerem inwentaryzacyjnym. Ale przybite niedbale, tabliczki są wyższe niż szerokość deski i wystająca blaszka musi albo zranić klienta w rękę, albo rozedrzeć mu spodnie, lub pończochę, jeżeli jest to kobieta.

Interwencja u kelnerek wyjaśniła, że takich wypadków było już bardzo wiele, że żadne interwencje w LZG Stare Miasto nie pomagają, ponieważ dyrekcja ma ważniejsze sprawy na głowie niż zabezpieczenie klientów przed przykrymi niespodziankami. Zresztą stali bywalcy wiedzą o tych taboretach-pułapkach i po prostu siadają tylko na krzesłach. Ponieważ w tej kawiarni rzeczywiście jestem tylko od czasu do czasu, doszedłem do wniosku, że słusznie zostałem ukarany. Mimo to jednak poradziłem kelnerkom, aby — nawet na mój koszt — zaprosiły do „Czarciej Łapy" żonę dyrektora LZG Stare Miasto. Gdy rozedrze sobie pończochę lub zrani palec może zdoła przekonać męża, aby jednak pomyślał i o tych przypadkowych klientach.

Następnego dnia pękła mi linka od szybkościomierza i licznika „Syreny". Pojechałem do stacji obsługi PZMot przy ul. Prusa. Wyrazili uprzejmie pełną gotowość założenia nowej linki, dodając jednak, że takiej linki hurtownia „Behamot" od dłuższego czasu im nie dostarcza. Jeżeli kupię sobie taką linkę i przywiozę, to natychmiast założą. I założyli, bo przypadkowo taka linka w sklepie „Motozbytu" przy ul. Buczka była.

Czekając na założenie owej linki przypomniałem sobie analogiczne sytuacje z ostatnich tygodni. Nawalił mi tzw. bendix — w stacji PZMot. powiedzieli: załóżymy, jeżeli pan nam ową część dostarczy, bo w hurtowni brakuje. Trzeba było wymienić sprzęgło, powiedzieli: kup pan w sklepie, bo hurtownia nam nie daje. Po uszczelkę do pompy wodnej musiałem pisać aż do wytwórcy w Bielsku-Białej. Przewodu gumowego do systemu chłodzenia szukam daremnie od dwóch lat, mogę kupić tylko w sklepie prywatnym. A ponieważ nie chcę popierać inicjatywy prywatnej, po prostu pozostaję na lodzie. Nawet w czasie największych upałów.

I właśnie w taki upalny dzień chciałem napić się maślanki. Obszedłem dosłownie wszystkie sklepy spożywcze przy Krakowskim Przedmieściu łącznie z dwoma barami mlecznymi. Nigdzie ani kropli maślanki. O ile się orientuję w mleczarstwie, przy wyrobie masła maślanka stanowi uboczny, ale konieczny produkt. Co z nią robią mleczarnie, nie mam pojęcia. Karmią świnie? Wylewają do kanałów. Podobno to ostatnie jest najbardziej opłacalne, nie ma kłopotów z rozlewaniem, rozwożeniem, rozliczaniem itd.

I tak oto poszczególne branże naszego handlu pozbywają się kłopotów z klientami. Jak widać walka z natrętnymi klientami prowadzona jest równolegle i przez hurt i przez detal. No bo klient wciąż jest od tego, żeby brał to, co i gdzie mu dają, a nie grymasił i powoływał się na przebrzmiałe hasło, że jest panem.

A jak mu się nie podoba, niech jedzie do Warszawy czy chociażby Garwolina.

BUR

NOTY i notki

Zastanawiamy się często w redakcji, skąd niektórzy ludzie biorą wzorce do pisania różnych straszydeł, nazywanych przez nich wierszami. Zrozumiałem po przeczytaniu utworu pod tytułem „Święto Młodości", napisanego przez Mariana Mikutę i Zdzisława Pyzika, a wydanego jako nr 2 Biblioteczki Repertuarowej „Naszego Klubu" — czasopisma ZMW. Oto króciutki fragmencik z długiego eposu: „Dosyć tego! Nie będziemy się swą wiedzą puszyć. Teraz trzeba publiczność całą z miejsc poruszyć. Dziś jest święto młodości, dziś ma być wesoło. Więc wszyscy bez wyjątku stwórzmy wielkie koło. Teraz będzie przez wszystkich dawno pożądany stary taniec dziecięcy, czyli całowany". Mimo takiej zachęty nie stanąłem do koła, bo zrobiło mi się bardzo smutno.

Jerzy Ofierski zaprezentował w warszawskim Domu Chłopa program, w którym — jak sam twierdzi — zaprezentował eksplozję seksu na szczeblu gromadzkim. Pisząc o tym programie króciutką recenzję w „Życiu Warszawy" (nr. 131), tak zajadle zawsze walczący o czystość języka i jasność sformułowań „Ibis" konkluduje: „Kierdziołek kabaretowy jest dzisiaj w większym stopniu niż dawniej produktem środków masowego przekazu, tkanin syntetycznych i mechanizacji rolnictwa". Mój Boże — taki traktor w plastykowej torebce z anteną na rurze wydechowej czy co?

Do różnych dziwactw w naszych teatrach trzeba dołączyć jeszcze jedno. Bałtycki Teatr Dramatyczny wystawił — dla młodzieży — „Świętoszka". Nie można jednak męczyć młodzieży oglądaniem starych strojów. Więc córka Orgona wystąpiła w mini-sukience, Elwira w spodniumie, a sam Tartufe pokazał się jako hippis, tyle że z różańcem w ręku. Jeszcze trochę, a okaże się, że poczciwy Diogenes mieszkał w drewnianym wiedrowcu, nie zaś w jakiejś tam beczce.

Pisząc o Filharmonii Narodowej, Jerzy Waldorff stwierdza autorytatywnie („Polityka" nr 23): „Teksty do programów piszą nikomu bliżej nie znane dziewice, wypisujące bóg wie co!". Może i wypisują bóg wie co, lecz skąd Waldorff ma te bardziej intymne informacje? Ale będzie heca, gdy zostanie oskarżony o zniesławienie...

Gdzie można zarobić najwięcej i to najbardziej legalnie? W kiciu. Kto nie wierzy niech przeczyta artykuł Mariana Bekajło pt. „Dograłeś się, amatorze" w „Życiu Literackim" (nr 23). Otóż niejaki Bogusław Podstawka, szef dużego gangu waluciarzy, został skazany na 8 lat więzienia oraz 1 200 000 zł grzywny. Ale „jeśli nie zapłaci miliona dwustu tysięcy, musi odsiedzieć dodatkowo trzy lata". Sam bym nie zapłacił, licząc codziennie o północy: dziś znów zarobiłem 1100 zł, nie wydając nic na mieszkanie, wyżywienie, światło i opierunek. A po wyjściu PKO wypłacanymi legalnie procentami zapewni mi całkiem wygodne życie. Chyba nasza Temida rzeczywiście coś niedowidzi...

1 czerwca cała prasa przyniosła sprawozdanie z posiedzenia pewnej komisji sejmowej, na którym ustalono, iż na rozbudowę tak pilnie potrzebnego zaplecza motoryzacyjnego wydamy w bieżącej pięciolatce miliard zł. Tego samego dnia w „Expressie Wieczornym" ukazało się ogłoszenie Zakładów Wytwórczych Urządzeń Motoryzacyjnych w Kobyłce, które proponują wykonywanie rur spustowych i rynien. To się nazywa dbałość o samochodziarzy. Nie opuszczając swoich pojazdów, będą mogli załatwiać czynności, przy których posiadanie rury spustowej lub rynny jest rzeczywiście potrzebne. Tylko jak będą wyglądały nasze szmy?

Ganione za to i przeze mnie „Perspektywy" zamieniły wreszcie eufemistyczny tytuł rubryki „Fotografika" na „Akt", co wreszcie odpowiada treści zamieszczanego zdjęcia.

W niedzielę 6 czerwca telewizja transmitowała finał turnieju bokserskiego o puchar „Gryfa Pomorskiego". Najczęściej stosowanym tzw. przerywnikiem było pokazywanie, jak pięściarze płuczą usta, a potem wypluwają wodę. Było to bardzo estetyczne i ciekawe, brawo kamerzyści.

JOD

„Zdecydowana większość obywateli Teksasu powiedziała tak w kwestii sprzedaży alkoholu w barach, które dotychczas miały prawo sprzedawać i wino" — pisze „Kurier Lubelski" w notatce z numeru 119 (4141). Dla autora notatki alkohol zapewne zaczyna się od ćwiartki czystej na jedną nogę.

WIR

Odpowiedzi redakcji

L. Z. w Lublinie. Wybaczamy „natrętność i to rymowanie", aczkolwiek wiersze nie mają nic wspólnego z jakimś nowszym rozumieniem poezji. Pozdrawiamy.

T. P. w Pszczelej Woli. Jako mistrzów istotnie wybrała sobie Pani poetów sentymentalnych („Ballada o Janku i jego dziewczynie" posiada nawet rytm „Laury i Filona"). Powstaje pytanie — dlaczego? Czyżby współczesność i jej literatura były niegodnym źródłem inspiracji? Żeby to rozstrzygnąć, musi Pani w każdym razie czytać dzisiejszą literaturę. Z nadesłanych tekstów nie skorzystamy. A tak na marginesie — nigdy nie podejrzewaliśmy, iż Kraszewski był pisarzem-rewolucjonistą.

S. S. w Sandomierzu. Stos Pańskich wierszy rośnie w redakcji zastraszająco. Do druku z tego kwalifikuje się niewiele, zaś wydrukować możemy jeszcze mniej — ze względu na znaną sytuację w tym zakresie. Wniosek — nie powinien się Pan spieszyć z pisaniem, przede wszystkim dla własnego dobra. Pisze się bowiem Panu za łatwo i za szybko. Teksty są nie dopracowane, niektóre zaś w ogóle nie powinny ujrzeć światła dziennego. Mamy nadzieję, że jako autor publikowany na łamach naszego pisma, przyjmie Pan te uwagi bez trw. ubocznych myśli. Chętnie też dowiedzielibyśmy się nieco na temat rezultatów Pańskiej współpracy z innymi pismami.

W. R. Z. w Lublinie. Wydawnictwo „odesłało" Pana do Koła Młodych, Koło Młodych do nas, my mogliśmy „odesłać" do Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy. Ale po co? Ktoś musi się zdecydować na powiedzenie odrobiny prawdy. Trw. iskra boża, która — być może — tli się w tych tekstach, jest zbyt nikła, niestety, żeby ją rozdmuchiwać. Dominuje stereotyp poetycki i miałkość myśli. Nie dostrzegamy realnych perspektyw rozwoju Pańskiej muzy. Życzymy natomiast powodzenia w owocnych pracach nad upowszechnianiem kultury.

L. P-W w Zawierciu. Trywialny mocno humorek Pańskich fraszek. W rodzaju: „Że się wspiął narbyt wysoko toteż dostał kitem w oko". He-he-he... Nie skorzystamy z czystym sumieniem. Może Pan to uznać za ocenę także poprzednio nadesłanych utworów.

W. P. w Matyldowie. O wierszach nie mamy wysokiego mniemania. Ponieważ jednak mieni się Pan „wiejskim pisarzem ludowym", przeto należy się zwrócić do Stowarzyszenie Twórców Ludowych, którego siedziba mieści się w Lublinie. Tam zadecydują ludzie kompetentni, czy rzeczywiście krynice ludowej twórczości biją w Pańskich tekstach. W najgorszym przypadku zawodem określonym Pan dysponuje i to wcale konkretnym. Staropolskie pozdrowienia załączamy, życząc powodzenia na trudnej drodze twórczości ludowej.